

W numerze: PROF. DR ZDZISŁAW ZYGULSKI **Ze wspomnień uniwersyteckich** ● KONRAD FREJDLICH
Młodzi ● ANDRZEJ MAKOWIECKI **Paprochy** ● WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ „**Cienie**” ● MAREK WAWRZKIEWICZ
Poeci Leningradu ● EUGENIUSZ IWANICKI **Buntownik i ogień** ● **Felietony** ● **Konkurs**

odgłosy



8 (692)
21. II. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. PARYS

KRZYSZTOF POGORZELEC

URZĘDNICY

W dotychczasowej dyskusji nad niedostatkami funkcjonowania władzy na płaszczyźnie wzajemnych stosunków urząd — obywatel zdaje się zwycięzać pogląd, że wszystkiemu winne są ni mniej ni więcej tylko... liczydła. Takie stanowisko zajmuje autor listu nadesłanego do redakcji, człowiek z klanu urzędniczego, pisząc m. in.:

„Jeszcze cztery lata temu, kiedy służyły nam leciwe „Rheinmetalle” (marka maszyn biurowych — dop. red.) i „kręciolki” żywo księgowego był lżejszy. Ale stare maszyny wysiadły, nowych tyle co na lekarstwo. A papierki się mnożą, obliczenia wykonuje się jak za króla Czwierka na liczydłach. Zresztą, żeby to choć te liczydła były solidne...”

Tyle księgowy.
I trudno odmówić mu racji, bo rzeczywiście nasz urzędnik nie jest — jak to się fachowo mówi — należycie uzbrojony w nowoczesne narzędzia pracy.

W bardzo wielu naszych urzędach można jeszcze zobaczyć w praktycznym użyciu, maszyny marki „Adler”, czy „Melitta”, które były prawdziwym... wrzaskiem nowoczesności w biurze, ale przed I wojną światową. Na palcach jednej ręki można by też zliczyć nowoczesnie wyposażone archiwa, gdzie racjonalne i zmechanizowane szafy — segregatory wyparły tradycję w postaci zakurzonych i równie trudno dostępnych teczek, zwalami tkwiących po sam sufit na drewnianych regałach. Może właśnie dlatego tak trudno znaleźć u nas nagle potrzebny dokument, bo archiwa to prawdziwa dżungla, której tajniki i ścieżki znają tylko nieliczni.

Ktoś może w tym miejscu powie-

zieć, że jest to ocena jednostronna, a obraz sytuacji biurowej wypaczony.

W Łodzi mamy np. nowoczesnie pomyślane i wyposażone ośrodki biurowe, choćby w „Poltexie”, w „Olimpii”, w Łódzkim Zjednoczeniu Budownictwa, jest ośrodek obliczeniowy PKP i w Politechnice Łódzkiej. Ale jeśli trzeba już podkreślać istnienie tych ośrodków jako zjawisk nowoczesności na administracyjnej mapie, to i to daje bardzo wiele do myślenia.

A więc — zafasowanie techniczne? Jednak z problemu maszyn stojącej w biurze nie robimy magicznego fetysza, bo bywa i tak, że administracja ma do swojej dyspozycji nowoczesny sprzęt, szybko działające urządzenia obliczeniowe, konające, analizujące, a jej działanie w odczuciu „klienteli” jest ślamazarnie i mało efektywne w stosunku do środków jakie wydano na owe cuda urzędniczej techniki.

Broń Boże nie występuję przeciwko technice w biurze. Natomiast nie uważam by wyposażenie urzędniczych w nowoczesny sprzęt pomocniczy w postaci maszyn itd. było panaceum na wszystkie dolegliwości naszej biurokracji.

Podkreślam słowo — biurokracja, którego nie należy utożsamiać z pojęciem biurokratyzacji.

OPINIA PROFESORA

Chciałbym się powołać na opinię nestora polskich ekonomistów — prof. Edwarda Lipińskiego, który ten naukowiec o światowej sławie

Dalszy ciąg na str. 4

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NOCNA ROZMOWA WŁÓKNIARZY

Późna i chyba niepowtarzalna była sceneria tej rozmowy. Najpierw odbyło się spotkanie premiera Piotra Jaroszewicza, członków Biura Politycznego KC PZPR — Władysława Kruczka, Józefa Tejchmy i Jana Szydłaka z aktywem partyjnym i związków zawodo-

wych Łodzi. Spotkanie odbyło się w sali Teatru Wielkiego. Nie trwało długo, a przecież dało wielu aktywistom miasta okazję do podzielenia się z przedstawicielami kierownictwa partii i rządu licznymi zmartwieniami, kłopotami i niepokojem o codzienne sprawy Ło-

dzi. Wielu chciało jeszcze zabrać głos, na zielonym suknie przydługim stołu sporo leżało białych kartek z nazwiskami. Nie było jednak zbyt wiele czasu, bo członkowie najwyższych władz partyjnych chcieli spotkać się jeszcze z załogami dwu fabryk.

— Szkoda — powiedziała siedząca obok mnie kobieta w czarnej sukni — bo wiele jeszcze jest do powiedzenia i nosimy się z tym od dawna.

I taki właśnie ton — od dawna noszonego żalu tłumionego, który nagle znalazł ujście — miały trzy późniejsze spotkania: jedno w ZPB im. J. Marchlewskiego i dwa w ŁZPB im. Obrońców Pokoju. Tu była już inna sceneria. W ZPB im. J. Marchlewskiego sala konferencyjna, pełna dymu, gwaru i gorącej — w przenośni

i dosłownie — atmosfery. Tu był jeszcze stół przydługim, mikrofony i głośniki. Inaczej było na dwu nocnych spotkaniach w ŁZPB im. Obrońców Pokoju.

— Dobrze, że nas tu zaprosiliście — powiedział włóknarzom członek Biura Politycznego KC, Jan Szydłak. Bo do tej pory, gdy słyszałem o największym zakładzie przemysłu bawełnianego w kraju, to myślałem o fabryce raczej nowoczesnej, a tu są wydziały, gdzie z sufitu kapie i tynk się syple, jest gorąco i niewygodnie, choć maszyny stoją. Teraz wiem, w jakich warunkach pracujecie.

W brakarni zaproszonym podano krzesła, ale w wykończalni stali wśród robotników i nie tylko słuchali ich gorących i gorzkich wypowiedzi. Mówili sami, bardzo dużo, szczerze i przekonująco o trudnościach,

które trzeba pokonać. Właśnie w wykończalni premier Piotr Jaroszewicz wygłosił swoje znakomite przemówienie. To mówił bardzo zmęczony człowiek do równie zmęczonych ludzi i mówił o sprawach ważnych, o sprawach państwa i ich — łódzkich włóknarzy — miejscu i roli w tym państwie. Nie obiecywał, nie zapewniał, rozmawiał z nimi o kłopotach. A było to już jego piąte przemówienie. Mówił o potrzebie szczerości, prawdy i zaufania we wzajemnych stosunkach między klasą robotniczą a jej przywódcami i mówił o kryzysie tego zaufania i jeszcze o tym, że trzeba czasu, aby kryzys ten przezwyciężyć, aby zaufanie odbudować.

W sali Teatru Wielkiego Stanisław Komorowski mówił gorąco i żarliwie o ważnych problemach ludzi z ca-

łego przemysłu włókienniczego. Mówił, że jeden dzień przerwy w pracy „Marchlewskiego” przynosi krajowi straty wielkości 6,5 mln zł. Ogromne wartości daje więc przemysł włókienniczy gospodarce, ale nie otrzymuje od niej niezbędnych mu środków na rozwój i poprawę warunków pracy i życia załogi. Robotnicy „Marchlewskiego”, „Obrońców Pokoju” i innych łódzkich fabryk przemysłu bawełnianego przerwali pracę i zgłosili liczne postulaty. Właśnie dlatego, aby wysłuchać ich pretensji i krytycznych uwag odbyły się trzy nocne z nimi spotkania przedstawicieli centralnych władz partii i Szefa Rządu.

Przez długie lata rosło poczucie krzywdy i żalu, że włókiennictwo coraz bar-

Dalszy ciąg na str. 2



Zewsząd o wszystkim



Zewsząd o wszystkim



Bunt w Quang-Chi

„L'HUMANITE” — PARYŻ

Na konferencji prasowej w Sajgonie przedstawiciel dowództwa amerykańskiego w Południowym Wietnamie poinformował dziennikarzy, że toczy się obecnie śledztwo w sprawie incydentu, który miał miejsce w amerykańskiej bazie wojennej w prowincji Quang-Chi. Dwaj oficerowie, w trakcie przeprowadzania inspekcji w garnizonie, zostali ostrzelani z karabinów. Jeden z nich zginął na miejscu, zaś drugi został ciężko ranny. Rzecznik prasowy armii nie podał żadnych innych szczegółów.

Ciekawe, że strzały w Quang-Chi — jak to podkreślił przedstawiciel amerykańskich władz wojskowych — nie były wynikiem „wroglej akcji ze strony przeciwnika”. Wszystko to każe przypuszczać, że do oficerów strzelali ich własni żołnierze.

Już wcześniej dowództwo

amerykańskie w Południowym Wietnamie poinformowało o podobnym wypadku. Sądząc po licznych artykułach w miejscowej prasie, takie incydenty zdarzają się w Południowym Wietnamie nie tak znów rzadko. Potwierdzają to zresztą również amerykańscy dziennikarze. Według ich słów, żołnierze niejednokrotnie odmawiają udziału w walce, a przy tym często grożą bronią swoim dowódcom.

Do słownika żołnierzy amerykańskich w Południowym Wietnamie doszło nawet nowe słowo, oznaczające żołnierza, rzucającego granat w swego dowódcę, który zamierza posłać go do walki w dżungli.

Co się tyczy incydentu w bazie wojennej Quang-Chi, to wiadomo już, że do oficerów strzelano z amerykańskiego karabinu automatycznego M-16.

Protest Murzynów

„TIME” — NOWY JORK

Do wiosny 1968 roku Murzyna Reno Robinsona władze policyjne Chicago uważały za wzorowego pracownika: w ciągu czterech lat służby otrzymał aż pięćdziesiąt pochwał. Któregoś dnia Robinson i kilku innych Murzynów — policjantów wstąpiło do „Afroamerykańskiej Ligi Policjantów”. Celem jej

działalności jest walka z rasizmem w policji. Od tej pory w życiu Robinsona zaczęły zachodzić szybkie i przykre zmiany: pięć razy usuwano go z pracy, anonimowi rozmówcy grozili mu przez telefon, że „rozprawią” się z nim, jego żoną i trojgiem dzieci. Teraz Reno Robinson stanął przed spe-

cialną komisją państwową, która rozpatruje liczne zarzuty, wysunięte przez zwierzchników: spanie na dyżurze, nieposłuszeństwo wobec przełożonych podczas pełnienia służby itd., itd. Robinson wie, że będzie zwolniony z policji.

To, co zdarzyło się jemu, jest typowe i dla innych Murzynów w policyjnych mundurach, którzy mieli odwagę podnieść głos protestu przeciwko brutalnemu rasizmowi zarówno w policji amerykańskiej, jak i w wojsku.

W ostatnich czasach czar noskórzy policjanci coraz częściej tworzą własne radykalne organizacje. Chicagowska „Afroamerykańska Liga Policjantów” liczy już obecnie

około tysiąca osób. W San Francisco murzyńscy policjanci utworzyli grupy „strażników sprawiedliwości”. Po dobie organizacje pojawiły się już w wielu miastach USA. W Nowym Jorku, na przykład, należy do nich 75 procent wszystkich czarnoskórych policjantów. W Hartford Murzyni, zatrudnieni w policji, wzięli udział w strajku protestacyjnym przeciwko walczącemu rasizmowi białych „kolegów”.

Wrogość między białymi i „kolorowymi” policjantami stale się nasila. Ubiegłego lata, w Pittsburghu, między policjantami doszło do krwawej bójki na tle rasowym. W Waszyngtonie „wyjaśnia” się takie nieporozumienia chwytając często za broń...

USA krytykują Brandta

„CORRIERE DELLA SERA” — MEDIOLAN

Kilka dni temu wszystkie gazety zachodnioluropejskie zamieściły na widocznym miejscu krytyczne wypowiedzi wpływowych amerykańskich osobistości politycznych, dotyczące „wschodniej” polityki NRF. Pierwszym politykiem amerykańskim, który wystąpił przeciwko amerykańskiej polityce wobec Wschodu jest b. sekretarz stanu USA, Dean Acheson, który doradził prezydentowi Nixonowi — „zahamowanie bezsensownego biegu Brandta w stronę Moskwy”.

Później nastąpiło oświadczenie podsekretarza stanu w rządach Kennedy’ego i Johnsona — G. Bohle’a, który — po wyrażeniu swego zaufania Brandtowi — przestrzegając jednak NRF przed niebezpieczeństwem „wciągnięcia

nięcia do konfliktów politycznych z ZSRR”.

Jak wynika z publikacji autorytatywnego tygodnika brytyjskiego „Observer”, tak że w NATO wskazuje się na poważne niebezpieczeństwa, płynące z polityki „wschodniej”. Na ostatniej sesji NATO minister obrony USA, Laird, ostro skrytykował politykę Brandta, a w szczególności jej aspekty strategiczne.

Według informacji ze źródeł amerykańskich, które pojawiły się również na łamach prasy zachodnioluropejskiej, jednym z głównych krytyków „wschodniej” polityki Bonn jest specjalny doradca Nixona w sprawach polityki zagranicznej, Kissinger.

NOCNA ROZMOWA WŁÓKNIARZY

Dalszy ciąg ze str. 1

dzie schodziło na ostatnie pozycje w gospodarce hierarchii. Mimo licznych wydatków — pozostających jednak w znacznej dysproporcji z wydatkami na inne działy gospodarki — mimo budowy nowych fabryk przemysłu lekkiego, w części starych zakładów łódzkich pogarszały się warunki pracy i życia włóknarzy. Nowe fabryki budowano bowiem poza Łodzią, a w mieście stworzono wprawdzie programy rekonstrukcji i modernizacji włókiennictwa, tylko, że środki na to pozostawały poza miastem. O przemysły tym, tak jak i o innych zresztą rozważano do tej pory w skali globalnych liczb, operowano wielkościami poszczególnych jego dziedzin, a nie myślano o człowieku. Rósł i pogłębiał się dystans między administracją a robotnikami.

Niechby — mówili robotnicy na nocnych spotkaniach — niektórzy funkcjonariusze ze zjednoczenia przyszli do fabryki, niechby pobyl tu z nami, na własnej skórze przekonali się, w jakich warunkach pracujemy, jakie mamy kłopoty i zmartwienia.

Ostro krytykowano tych wszystkich, którzy wywodzą się z klasy robotniczej, ale wraz z przebiegiem do grupy mistrzów i kierowników zapomnieli o niej, zaczęli trak-

tować robotników z góry, tworzyć klikę i koterie i — jak to ktoś trafnie zauważył — „budować socjalizm na własną rękę i na swój prywatny użytek”. Krytykowano więc ostro i bezpardonowo wszelkie marnotrawstwo, złodziejstwo i wszelką niesprawiedliwość. Krytykowano złą politykę kadrową, kiedy — jak to powiedział ktoś na spotkaniu w braku „Obronców Pokoju” — nie zawsze awansuje się tych, którzy na to zasługują, bo mają dobre kwalifikacje i umiejętności, ale tych, z którymi jest się najbliższymi.

Powszechnie i już od dawna powodem niezadowolenia robotników jest niesprawiedliwy podział premii. Ich zdaniem — a mają oni rację i potrafiliby to w czasie nocnych spotkań pokazywać na przykładach — premie nie zawsze dostają ci, od których zależą osiągnięte wyniki produkcyjne ale przedstawiciele administracji. Jeśli już nawet robotnik otrzyma premię, to jest to suma pozostająca w znacznej dysproporcji do sum, jakie dzieli między siebie administracja. Sprawa zarobków włóknarskich była szeroko i gorąco dyskutowana.

Dlaczego — pytał robotnik z „Obronców Pokoju” — pracowaliśmy więcej i lepiej w styczniu, a dostaliśmy po 200 i 300 zł mniej?

Dlaczego — pytała ro-

botnica „Marchlewskiego” — kiedy odbieram zarobek, to dostaję pasek, z którego nie nie rozumiem? Czy nie można uprościć systemu obliczania robotniczych zarobków?

Decyzją premiera Piotra Jaroszewicza powołano ministerialne komisje, które zbadały i odpowiedziały na szereg słusznych pytań i postulatów. Komisje przystąpiły do pracy już następnego dnia. Choć nie. To było już tego samego dnia — w poniedziałek, 15 lutego 1971 roku. Tego dnia bowiem o godz. 5 rano skończyło się ostatnie z serii spotkań z robotnikami.

Przez długie lata rosło poczucie krzywdy. Przez długie lata włóknarze starali się odzyskać szacunek dla ich pracy i odbudować swoją pozycję zawodową, jaką cieszyli się kiedyś. Przez te długie lata próbowali mówić o swoich sprawach, ale czas po temu nie sprzyjał, ale nie widzieli wtedy człowieka i jego kłopotów, marzeń i potrzeb. Celem była tylko produkcja, celem był rozwój sam dla siebie, dla wskaźników, które miały obrazować jak to pięknie się rozwija nasz kraj. I prawdą jest, że rozwijał się i prawdą jest, że stworzyliśmy wielki potencjał przemysłowy, którym władaliśmy i zarządzaliśmy niedoskonale i niewłaściwie.

Premier Piotr Jaroszewicz powiedział, że niełatwo sterować krajem w tych trudnych czasach, kiedy narosły konflikty, na rozwiązanie których potrzeba czasu i środków. Dlatego nie nie obiecywał, mówił o trudnościach, o kłopotach i zamierzeniach rządu. Zapewnił, że kiedy tylko powstanie możliwość zaspokojenia włóknarskich żądań, to rząd nie będzie czekał ani chwili, aby to uczynić i poprawić ich zarobki.

Kiedy teraz — w kilka godzin po tych spotkaniach — patrzę w mój gęsto zapi-

sany notes, kiedy wspominam niektóre głosy robotników, to ogarnia mnie zdziwienie. Bo wśród postulatów włóknarzy były i takie, które można było i trzeba było dawno już rozwiązać. Dlaczego tego nie robiono? Odpowiedź na to dali sami robotnicy, kiedy stwierdzili, że z ich głosami dawniej nikt się nie liczył. Nie słuchano ich, a jeszcze częściej nie mieli okazji do tego, aby podzielić się swoimi uwagami i przedstawić krytyczny punkt widzenia.

Rozmawiano szczerze i otwarcie, nie szczędząc sobie gorzkiej prawdy. Dlatego i ja — obserwator tych rozmów — muszę być również szczery. Nie uważam bowiem, aby przerwanie pracy było najlepszą formą protestu. Nie uważam, aby dezorganizowanie życia gospodarczego służyło nowemu kierownictwu partii. Sądzę jednak, że w działaniu partii i w jej kontroli nad administracją musi bardziej liczyć się głos robotnika, a wtedy nie dojdzie do takich smutnych, i bolesnych zdarzeń, jakie miały miejsce w niektórych fabrykach Łodzi. I aby tak było trzeba rozwijać i doskonalić wszystkie formy społecznej i robotniczej demokracji i trzeba odbudować w życiu politycznym taki system wyborów, aby odbywały się wybory, a nie głosowanie, aby wyborcy mogli dobrze kontrolować wybranych.

Zrobiliśmy bardzo dużo przez ten krótki czas — powiedział w czasie jednego z spotkań premier Piotr Jaroszewicz — chcemy zrobić jeszcze więcej. Potrzeba nam do tego czasu i Waszego zaufania. Potrzeba abyście uważnie patrzyli, czy to, co robimy dobrze będzie Wam służyło.

Nie były to łatwe rozmowy, ale były potrzebne, choć możliwe do uniknięcia.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

A sepia-toned photograph of a large, dark, carved stone sculpture of a seated figure, possibly a deity or a person in traditional attire, positioned in a shallow body of water. The sculpture is surrounded by lily pads and reeds. In the background, a dense forest of tall evergreen trees is visible under a hazy sky.

str. 3

URZĘDNIICY

Dalszy ciąg ze str. 1.

wie wyraził niedawno na łamach „Życia Literackiego”. Piszcie on:

„Wszelka organizacja musi być w jakimś stopniu biurokratyczna. Biurokracja zaś może oznaczać powolność, ociężałość, rutynę, skomplikowany sposób postępowania, brak przystosowania do potrzeb. Ten stan biurokracji nazywamy biurokrytyką. Hamuje ona ruch naprzód i zmniejsza gęstość organizacji, czyli zdolność przedstawiania się na nowe potrzeby niezbędne ze względu na zmiany w otoczeniu”.

Wynik jest oczywisty. Zbiurokratyzowanie jakiegokolwiek przypadku administracyjnego czy gospodarczego organizacji — powoduje jej paraliż. Jest to także rezultat centralizacji decyzji, wprowadzania bardzo ścisłych norm, regul, dyrektyw, nęch wskazywanych, limitów i zaleceń, które prowadzą do „zagwożdżenia” elementów działania. Są one, praktycznie rzecz biorąc, unieruchomione i zmutyfikowane przez niezliczone przepisy i zarządzenia — z reguły narzucone z góry.

A teraz jeszcze raz odwołamy się do cytowanego listu „księgowego”:

„Przepisy”. Dżungla. Rozsypane są w Dzienniku Ustaw, Monitorze Polskim, Dzienniku Urzędowym, po okólnikach, zarządzeniach, instrukcjach, ba — nawet w pismach i wydawnictwach fachowych!”

Autor listu zwraca wprawdzie uwagę tylko na mnogość tzw. „źródeł”, którymi powinien posługiwać się w swojej pracy urzędnik, ale między wierszami można chyba doszukać się tego w czym prof. Lipiński dostrzega przyczynę owego zagwożdżenia — inercyjny, „szybkości i elastyczności działania naszej administracji skrepowanej ścisłymi regułami, dyrektywami, wskazywanymi i limitami. Są one przy tym bardzo rygorystyczne i nie uznają możliwości odstępstw od wykonanych wzorców postępowania chociaż praktyka życia wymaga zupełnie czegoś odmiennego.

Czy można się dziwić, że ten zwycajny człowiek zza urzędniczego biurka, lub „okienka” czuje się zagubiony w gąszczu praw, byłoby wzajemnie się wykluczających. Jeśli miał być w zgodzie z prawem — powinien je stosować. A stosować to znaczy obracać się pośród recept niekiedy w oczywisty sposób zdawa luowanych przez życie, ale obowiązujących prawem inercji. Podobno od krajów najbardziej rozwiniętych

dzieli nas nie tyle luka technologiczna co organizacyjna.

I zaiste — skomplikowany jest żywot petenta, ale nie mniej trudne ma życie urzędnik.

W POSZUKIWANIU ALIBI

Ten zaczerpnięty krag superścisłych i tyle samo licznych przepisów, wśród których musi się — przynajmniej dotychczas — obracać urzędnik wywołuje określone skutki psychologiczne i praktyczne. Zresztą podział jest tutaj trudny i w gruncie rzeczy oba zjawiska towarzyszące pracy wielu naszych urzędników, ergo — urzędników, dają się sprowadzić do wspólnego mianownika.

O co chodzi?

Oto gdzieś na końcu cytowanego już tutaj kilkakrotnie listu „księgowego” znajdujemy takie, przynajmniej dosyć zaskakujące pytanie: czy w tych warunkach jestem pracownikiem umysłowym?

Samo zjawisko nie jest świeżej daty i zauważono je dosyć dawno. Tu i ówdzie próbowano nawet temu zaradzić. W czym się ono wyrażało?

Upraszczając znacznie — w ogólnej tendencji do omijania przez petentów najniższych, a zarazem podstawowych komórek administracji. Tak, właśnie owych „referentów” i kierowanie podać „o załatwienie” bezpośrednio do najwyższych w danej dziedzinie zarządzania ogniw władzy. Czy miało to uzasadnienie? Niestety — tak. Każdy z nas był przecież petentem i zetknął się z sytuacją, w której podjęcie decyzji nawet w najblizszej sprawie wymagało co najmniej podpisu kierownika jakiegoś szczebla.

Ale to już skutek sytuacji w której urzędnik skrepowany ogromną ilością przepisów i formulek po prostu nie był w stanie, a bywało że i nie chciał, brać na siebie odpowiedzialności za wydaną decyzję i tak zresztą wymagającą nawet w drobnych sprawach akceptacji co najmniej bezpośredniego przełożonego. Fachowcy od spraw zarządzania twierdzą, że w urzędowej praktyce wytworzyła się u nas „smukła struktura” — polegająca w odróżnieniu od „płaskiej” na koncentracji pełni uprawnień w rękach kierowników z równoczesnym zwolnieniem od tych cech i prawa decyzji personelu urzędniczego niższych szczebli oraz rozdwojeniem odpowiedzialności.

Każdy z nas ma swojego kierownika i nie chciałbym być posądzony

o awersję do nich. Paradoxs sytuacja polega bowiem na tym, że i do kierowników można zastosować wszystko to, co zostało już tutaj powiedziane na temat trudności w ukształtowaniu bardziej prawidłowych stosunków pomiędzy urzędem a obywatelami. Z równym powodzeniem można i trzeba zastosować wobec kierowników twierdzenie prof. E. Lipińskiego o hamulcach inicjatywy i odpowiedzialności. Tyle tylko że w odmiennym kierunku.

W „Życiu Warszawy” ukazał się niedawno wywiad z mgr Leonem Sidorenką, kierownikiem — nomen omen — wydziału organizacyjno-

chych skrzynek pocztowych. Lekarstwo na to było stosunkowo proste: rozsądne oddzielenie kompetencjami wszystkich ogniw i szczebli, przybliżenie punktu pobierania decyzji do miejsca załatwienia sprawy...”

Słowem zbliżenie petenta do urzędnika, a podania do decyzji.

Kierownik Wydziału Organizacyjno-Prawnego Prez. RN m. Łodzi stwierdza jednak, że procesy usprawniania zapoczątkowane w roku 1956 — cytuję dosłownie:

„Nie dopłynęły daleko. W tym punkcie nastąpiło jakieś zahamowanie: otoż decentralizacja uprawnień nie przyniosła poprawy w oczekiwanych stopniu co do okresu oczekiwania na decyzję. O ile przedtem na wysokich szczeblach tworzyły się zatory spraw wymagających decyzji, o tyle teraz zaczęło wszystko wędrować między posiedzeniami kompetentnych ciał kolegiatnych danego szczebla — komisji, zespołu, komitetów, kolegiów...”

Już od dawna obserwujemy inflację kolegiatności, bowiem powołanie komisji czy też zespołu jest często tylko unikiem a jak stwierdza kierownik Wydziału Organizacyjno-Prawnego ma niekiedy cechy tworzenia „falszywego szyldu kontroli społecznej”. W istocie nie się bowiem nie zmieniało. Wydanie decyzji i tak było uzależnione od urzędników, tyle że sam proces odwlekał się w czasie a to ze względu jakże często na formalną kolegiatność. W tym działaniu, jak stwierdza to mgr L. Sidorenko — było coś z poszukiwania alibi dla decyzji wydanych w gruncie rzeczy jednoosobowo, ale z zachowaniem wszelkich pozorów kolegiatności.

Oczywiście i ta metoda nie mogła się przyczynić do usprawnienia działania administracji, skrócenia czasu oczekiwania na wydanie jakiejś decyzji, a ponadto sami kierownicy — jak się okazuje — nie mają zbyt wiele czasu na zajmowanie się sprawami jednostkowymi, które leżą w ich kompetencjach, gdyż jak obliczone — średnio biorąc w kraju — z czasu nominalnie przeznaczanego na pracę przeciętny kierownik musi wydzielić na narady i konferencje około 5,5 godziny w każdym dniu roboczym. Efektywnie więc do kierowania, zarządzania i decydowania pozostaje mu 2,5 godziny.

A więc i kierownicy mają swoje problemy i bynajmniej nie są zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy.

W POSZUKIWANIU ODPOWIEDZIALNOŚCI

Jak stwierdził prof. dr Zygmunt Rybicki — aparat państwowy musi działać skutecznie, a owa skuteczność nie jest kategorią technokratyczną lecz polityczno-społeczną. Idzie bowiem nie o sprawność dla samego działania, nie tyle o formalne dotrzymywanie terminów udzielania odpowiedzi, ale przede wszystkim o załatwianie powstających problemów. I tylko takie rozumienie skuteczności działania aparatu państwowego odpowiada socjalistycznej istocie naszego ustroju.

Już ta formuła wykazuje, że administracja musi przejść głęboką ewolucję w metodach swojej pracy,

musi się dopracować nowej struktury zbliżającej urzędnika do petenta, a sam urząd do obywateli. Kierunek tych przemian to także na pewno wyposażenie naszych biur i urzędów w nowoczesne środki techniczne. Ale nie idzie i nie chodzi o to by zastąpić ludzi maszynami. Główny sens potrzeb i przemian to stworzenie lepszych przesłanek do podejmowania rozstrzygnięć. I w tym zakresie nie innego jak człowiek wyposażony w odpowiednie prerogatywy, w uprawnienia, umiejętności stanowi podstawowy czynnik decydujący o tym w jakim stopniu potrzeby społeczeństwa w dziedzinie kontaktów z urzędami będą sprawnie zaspokajane.

KRZYSZTOF POGORZELEC

*) E. Lipiński: „Czwarta siła twórcza — zarządzanie”, „Życie Literackie” 24. I. 1971 r.

POLONICA

STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE

W pierwszym i drugim numerze tegorocznego kwartalnika „Weimarer Beiträge”, znajdujemy szereg materiałów, poświęconych stosunkom polsko-niemieckim w przeszłości i obecnie. I tak, na przykład, Konrad Gajek z uniwersytetu wrocławskiego pisze na temat „Sztuki Bertolta Brechta na scenach polskich”, a Othmar Feyl podaje wiele interesujących informacji o niemieckich wydawcach i bibliotekach jako propagatorów literatury polskiej w XIX i XX wiekach. Z innych materiałów warto wymienić artykuł Dietricha Sommera o obrazie Polski w twórczości i wypowiedziach młodego Theodora Fontane, następnie obszerny szkic Eldy Marii Szaroty z uniwersytetu warszawskiego nt. „Polska w świetle piśm uczonych niemieckich XVII stulecia” oraz rozważania Gerarda Kozielewskiego z Wrocławia pt. „Chr. D. Grabbes Planines Kościuszkowo-Drama”. Wymienione wyżej materiały wygłoszone były na pierwszej konferencji komi sji germanistycznej, która odbyła się w roku ubiegłym w Warszawie z udziałem uczonych Polski i NRD.

JK.

EUGENIUSZ IWANICKI

BUNTOWNIK I OGIEŃ

PISAL:

„Szczególny Panie. Czy wie pan, co to jest ambicja? Przypuszczam, że pan wie, choć to jeszcze niczego nie wyjaśnia. A czy wie pan, co to jest ambicja ludzi, którzy nagie dorobili się pieniędzy? Wielkiej forsy? Moi rodzice są teraz bogaci, może najbogatsi w mieście, wie pan, to zobowiązuje. Oni teraz są górą i chcą być jeszcze bardziej górą. I chcą, aby ich dzieci zaszczyły jeszcze wyżej. Skoro mają pieniądze, to muszą mieć i zaszczyty. Bo powiedzcie, że pan B. to jest ktoś, to mało. Ale jeśli usłyszysz się, że syn tego B. jest, dajmy na to, inżynierem, lekarzem czy innym magistrem, to już coś.

Moja siostrzyna uczyła się źle i pozostanie tajemnicą ojca, jak ukończyła podstawówkę. Potem chodziła na różne kursy, pomagała ojcu w cukierni, podawała gościom herbatę i rękę z kremem,

aż znalazł się frajer, co ją chciał, i teraz wychodzi z Łodzi, mieszkają w blokach, ale szwagier myśli budować się w Łagiewnikach czy Tuszynie, dokładnie nie wiem. Czasami myślę, że on nie jest jednak taki frajer. Jadłóżka nie artystka, tylko że pieniądze ojca miały taki urok, że facet nie mógł się oprzeć.

Więc zostałem sam. Uczyłem się nieźle, nie żeby piątki, ale czwórki się zdarzały, fakt. Poszedłem do ogólniaka. Maturę zrobiłem, ale na studia nie chciałem iść. Wstawiłem bajer, że jadę zdawać, a pojechałem gdzieś indziej. Stary dał forszę, bo to, mówi, trzeba tam wsunąć komuś trza, więc przysłałem z takim jednym chłopakiem do Gdyni i bawiliśmy się jak niemowlęta. Potem sprzedałem „selgę”, kupiłem bilet do domu i przyjechałem. Stary był wściekły. Kazał mi wynieść się do takiej szopy i tak długo w niej

siedzieć, aż nabiorę rozumu. Więc siedzę i czekam na ten rozum. Obgadałem, co prawda, sprawę zatrudnienia w POM ze znajomym mechanikiem, nawet wypiliśmy wino na to konto i od pierwszego mam zacząć, ale dokładnie to jeszcze nie wiem...”

*

W szopie jest duszno, pachnie staniem i rumiankiem. Niski sufit kryty blachą, przy wozidła na myśli rozpalone blachy kuchenne. Miejsca tu niewiele, w sam raz, by się wyciągnąć. Na podłodze nadmuchany materac przykryty wytartym kocem, trochę książek, na gwoździu ubranie.

JA: Jak tu wytrzymujesz?

PIOTR: Przyszyczałem się. W nocy to nawet fajnie. Czasem przychodzi chłopaki, gramy w karty.

JA: I ciągle namyślasz się?

PIOTR (uśmiecha się): Namyślam się. Ale u mnie to idzie powoli. Teraz lato, nie ma pośpiechu.

JA: A zimą?

PIOTR: Coś się wymyślił. (Ożywia się). Pan to chce naprawdę opisać? I starzy będą mogli to przeczytać? Ale bądźcie ubaw!

JA: Oczywiście, że napiszę, po to tu jestem. Siedzisz tu cały dzień?

PIOTR: Normalnie to idę nad rzekę, dopiero wieczorem... Myśli pan, że jestem taki frajer?

JA: Z czego żyjesz?

PIOTR (uśmiecha się). Ten jego zagadkowy uśmiech utwierdza mnie w przekonaniu, że Piotr nie powiedział w liście wszystkiego: Jeszcze daję, a w takim młynie jak cukiernia zawsze idzie coś skłówać.

JA: Pieniądze?

PIOTR: Też. JA: Pisałeś, że nie imponują ci studia ani tytuły naukowe. Dlaczego więc nie wybierzesz jakiegoś zawodu? Przecież całe życie nie będziesz siedzieć w tej budzie. Znużdzi ci się ta zabawa. Co wtedy?

PIOTR: Pisałem, że kombinuję z jednym takim z POM. Myślę, że na początek starczy. A potem rozejrzę się.

JA: Masz dziewczynę?

PIOTR (ciągnie uśmiechu): Mam taką jedną. Hanka. Tu tejsza. Chodźmy od roku. Ale nie to najważniejsze. Muszę wpręć czegoś dokonać. Dziwi się pan? Mówię poważnie. Muszę udowodnić rodzicom, otoczeniu, no i sobie, że stać mnie na samodzielność. Gdyby mnie nie zmuszano do nauki, nie przekonywano, że każdy dyplom można kupić, wówczas może zdawałbym na uczelnię, a tak... Skoro wie-

rzę, że za pieniądze można wszystko, to niech mi ten pierośkę przyniosą do domu, po co mam się uczyć, no nie?

Obserwuję Piotra. Szczupły, wysoki, lekko zgarbione plecy: żywe, chytre i kłapiące oczy. Polskie rifle i rozpięta aż do pępka koszula. Na szyi jakaś blaszka na miedzianym łańcuszku, który pozostawił po sobie brudną, fioletową pręgę. Na serdecznym palcu lewej ręki ciężki, prymitywny pierścionek z aluminium. W całości: znużony, rozpieszczony, wyznający filozofię wycofania („przecież starzy kiedyś kłapnęli i to wszystko będzie moje!”).

Zastanawiam się, co go skłoniło do napisania listu. Czyżby chęć reklamy, chęć zabłysnięcia, udowodnienia czegoś, czego jeszcze nie domyślam się, nie dostrzegłem?

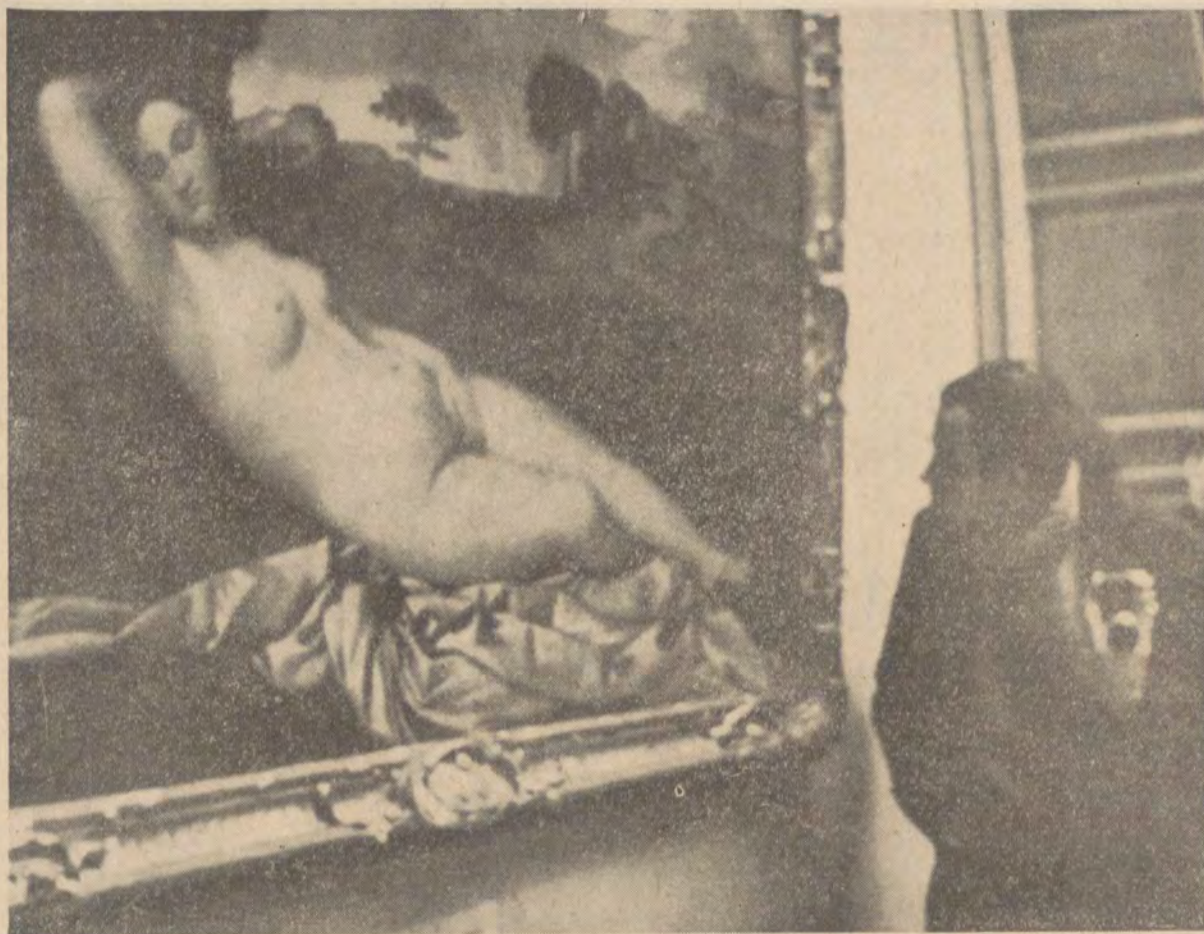
*

„Chcieliśmy kiedyś (ja i kilku kolegów) założyć zespół muzyczny i chcieliśmy grać w gospodzie albo w kawiarni mego starego. Ale nie! z tego. W knajpie i bez nas jest wesoło i głośno, a ojciec ani chciał słyszeć o muzyce. Mówił mi, że takie koncerty, to rozrywka kulturalna dla tych co przychodzą na kawę, a przy tym reklama. Ale ojciec powiedział, że on ma

gdzieś kulturę, że z kultury się nie wyżyje, a reklamy mu nie trzeba, bo i tak nie może nadążyć z ciastkami. Chęć — krzyknął — abyś jeździł służbowym samochodem z soferem i aby wszyscy ci się kłaniali! Musisz pokazać tym wszystkim (!), kto to jest Piotr B., niech wiedzą, że mnie stać na wszystko.

Wie pan, postawa ojca to nieustanne paradoksy. Każę mi skończyć studia, a zapominam, że jestem młody i muszę to młodość jakoś przeżyć. To znów zmusza mnie do nauki, a gdy ujrzy mnie z książką w ręku, zaczyna wymyślać, że tracę niepotrzebnie czas na jakieś brednie, które nikogo nie nauczyły życia, że on sam ledwo umie czytać, a doszedł do tego, że kłaniają mu się w pas, że sam pan mecenas i pan doktor, a nawet książd proboszcz przychodzą do niego na kolację i rozmawiają jak z równym sobie. Ot co.

A teraz sprawa kolegów. Kiedy przyjaźniłem się z Olkiem S., Witkiem M. i Złutkiem S., ciągle mi wytykał, że ich rodzice wyszli z parobków, że przez tyle lat niczego się nie dorobili, więc nie u nich mam szukać wzorców. Któregoś dnia wygrał ich po prostu z domu. Było mi przykro, ale to było jeszcze na początku ogólniaka, w dru-



Fot. W. Parys

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PAPROCHY

O siemnastego stycznia szczęśliwego nowego roku spotkałem w Zakopanem gościa, który dawno temu szlał się po amatorskich scenach jako aktor studenckiego miotu: zapowiadał się wspinał: wygłaszał zwarte satyryczne kwestie w rodzaju: „Lada moment książę weńdzie!” albo: „Jeśli ty mnie, ukochana Bomboniero, zdradzisz...” Był zarozumiały, świadomy swojej wartości, więc chociaż miał tylko osiem klas (co w studenckim ruchu teatralnym nie jest znowu zjawiskiem tak rzadkim) i metr sześćdziesiąt wzrostu, jeszcze kilka lat temu nigdy bym się nie ośmielił zaczepić go na ulicy, bo mógłby przecie człowieka kopnąć lub zwyzyłać za bezprzekładną śmiałość... No, lecz z biegiem czasu zmienił

się zasadniczo: przytył, wytysiał, mordka mu wyszlachetniała pod czarną, bujną, spryskaną srebrem brodą. I tam, na Krupówkach, sam do mnie podszedł wyciągając wąską, diabelnie wilgotną rączkę.

— Słyszałem o panu to i owo, panie Makowski — powiedział, a głos miał szlachetnie wymodulowany inteligentny. — Pogratiłować, pogratiłować. Sam też się niedawno, że tak powiem, przebraniżwiłem, i pracujemy obecnie w pokrewnym zawodzie... ti, hi, ha, barlihiha! — zaśmiał się nerwowo, poprawiając na piersiach aparat fotograficzny z wielkim jak armatnia rura teleobiektywem. — Nie potrzebuje pan przypadek do jakiegoś prasowego artykułu czy też wywiadu?

— A co pan ma?

— Ho, ho, panie Makowski. Same pikantności. Bo nie jestem zwykłym fotoreporterem. Ja jestem pierwszym i jedynym w kraju paparazzo!

— Pracuje pan dla jakiejś gazety?

— Zgadza się.

— Dla której?

— Niech pan zgadnie. Wymieniłem „Kulisy”. Zaprzeczyl.

— „Panorama Północy”?

— Dno!

— To nie wiem — powiedziałem. Wówczas on nabrał powietrza i wyrzucił triumfalnie na jednym oddechu:

— Mnie, panie Makowski, polska prasa nie urząda, gdyż nie pozwala mi, że tak powiem, rozwinąć skrzydeł, i tak dalej, więc ja pracuję dla „Play-boy’a”...

Trafiał. A już go miałem opuścić. Wyjął z kieszeni potarganego, cuchnącego kożucha kopertę, na której był ozdobny nadruk wspomnianego pisma. Zaraz też wyluskał z koperty zaświntuszoną, zmiętą od częstego pokazywania ćwiartkę papieru, gdzie pisało do angielsku, że zdjęcie, które nadesłał, jest bardzo fajne: „that right, very good”... ale, niestety, tej pan: — znanej polskiej piosenkarki i aktorki — nikt na Zachodzie nie zna... Owszem, chwycił ją na gorącym, nie można powiedzieć... jest niewatpliwie rozmemlana i spita, ale przy tym wszystkim przedstawia się szpetnie, więc nie da rady umieścić jej na łamach ani w charakterze „głosnego nazwiska”, ani też w roli „rozkosznego anonimowego golaska ze Wschodu”. Lecz w zakończeniu „Play-boy’a” podsyłał w naszym paparazzo nadzieję wędźdżał mu — jak by to powiedzieli nasi ojcowie — na ambit: „Szukaj przyjaciela, nie ustawaj w wysiłkach, to może uda ci się nakręcić w grzechu, czy też jakieś sprośności te i ową lub tego i owego (tu padły dwa nazwiska polskich artystek, z których jedna od dwudziestu lat nie żyje, oraz trzy zniekształcone nazwiska innych osób).

— I co? — zapytałem.

— Jak to, co? — zaperzył się paparazzo. — Szukam, wszę, nie ustaje w wysiłkach, mam przecież realne zamówienie...

I potencjalny współpracownik sławnego organu rozłożył przede mną dole i niedole swojej misji.

Od kilku miesięcy mieszkam kątem u szwagra w Zakopanem. Penetruje nie tylko miasto, lecz także pobliskie okolice. Ma już spore osiągnięcia. W listopadzie ubiegłego roku udało mu się przydybać w Poroninie pewną zamezną, szeroko znaną koszykarkę; cyknął jej zdjęcie w chwili, kiedy całkowicie zalana tańczyła na gołej ziemi z młodszym od siebie o dziesięć lat członkiem kadry narodowej w slalomie specjalnym. Innym razem, skrabając się na wysokie drzewo, pstryknął sławną kurtyzanę. Dziśkę Lulubaj Ping-pong, odprawiając seksualny podwieczorek z dyrektorem potężnej łódzkiej fabryki na drugim piętrze willi „Złota Reneta”. Dobry dzień miał na początek grudnia: wytopił warszawską modelkę, która w ramach twórczości ubocznej poprawiała humory kilkunastu niemłodym, nieźle odżywionym Szwedom, tańcząc całkiem nago na stole boogie-woogie, a było to w nocnym lokalu o doskonałej reputacji. Zaraz potem wdarł się ze swoim nieodłącznym aparatem do hotelowej łazienki w „Orbisie” i utrwalił na kliszy wesoły obrazek obyczajowy, w którym brał udział sześciopięcioro wesoły zespół mocnego uderzenia, dwie pokojówki, bufetowa z baru szybkiej obsługi i pracownica powiatowej placówki kulturalnej.

Jednakże zdjęcia te nie nadawały się do „Play-boy’a”. Było jasne, że Zachód nie zna żadnej z tych osób, a za anonimowy szmleł redakcja nie płaci. Paparazzo schował więc filmy w szufladzie, a pojedyncze odbitki powkładał do kopert, na których zrobił dopisek: „do rąk własnych”

i które porzucił zainteresowanym osobom, prosząc je w imieniu własnym o wysokie honorarium, bo jak nie, to powysyła zdjęcia gdzie indziej, do różnych zjednoczeń, klubów sportowych, meżów, narzeczonych itp. Niebawem też przyszyły odpowiadzi. Szeroko znana sportsmenka napisała, że może mu ofiarować tylko sto złotych, gdyż — po pierwsze — nie dostała jeszcze z klubu pieniędzy na dożywianie, po drugie — ta kobieta na zdjęciu, to wcale nie ona, po trzecie — poza, w jakiej przylapał ją ze slalomistą, nie sugeruje żadnych rozwiązań ostatecznych. Dziśkę Lulubaj Ping-pong kropnęła do naszego paparazzo bogato zdobiony telegram donosząc, że nie boi się szantażu, przeciwnie, gotowa jest zapłacić nawet dwa tysiące złotych za opublikowanie zdjęcia tu i owdzie, bo to przyniesie jej pożądaną reklamę i zwiększone dochody. W podobnym tonie utrzymywały był listek warszawskiej modelki: „Już ty się, Kotuś, nie musisz ośmieszać. Wal to śmiało do prasy, telewizji, rozklejaj na płocie. Mnie to i tak nie zaszkodzi, a Ciebie zamkną i będziesz miał przez dwa lata darmowe utrzymanie i bezpłatny dach nad głową, ialeczko”. Jeśli chodzi o zespół big-beatowy, reakcja jego była zwięzła: „Odczep się, stary trumpe, bo damy znać, gdzie trzeba i może się wtedy okazać, że to właśnie ty zorganizowałeś całą tę seks-grupę, namawiając do grzechu biednych bikkiciarzy”. Tak więc paparazzo nie zarobił na szeroko zakrojonej akcji ani grosza. Widać — nawet sportsmenka doszła do wniosku, że nie warto wysyłać szantażystę setki. Zgorzkniał. Zaczęły go trapić zwątpienia, niepokoje, ciężka zgrzyzota, bo przecie wykosztował się na filmy...

— Dosłownie nie mam czym pracować — użalał się ze smutnym uśmiechem. — Pożycz pan z pięćdziesiąt złotych, panie Makowski...

— Nie mam przy sobie.

— A w domu?

— Dziękuję, wszyscy zdrowi.

— He, he — zarechotał. — Stary dowcip. Zdaje się, że to z Tuwima. Ale do rzeczy... robimy jakiś interes? Potrzebne panu zdjęcia?

— A co pan proponuje?

— Z aktualności?

— Powiedźmy...

— Będę szczerzy, w Zakopcu jest teraz marny sezon. Puchy. Paprochy. Nic wielkiego się nie dzieje.

— No, zaraz się zaczyna międzynarodowe zawody narciarskie. Skoki, biegi...

— Kiedy ja do tych rzeczy nie mam jakos smykałki. Wolę portretować świat sztuki.

— A słyszał pan o Mistrzostwach Polskiej Dziennikarstwa w Koszykowie?

— Taaa. Byłem tam nawet, pod tym barakiem „Antałówka”.

— I co?

— Fajnie. Na górze jest otwarty basen z podgrzewaną wodą i kilku redaktorów pluskało się dzisiaj przed południem. Twardy naród. Jeden, to nawet był bez majtek.

Dalszy ciąg na str. 8

giej klasie, więc nie nie mogłem zrobić. Potem zaczęli przychodzić do mnie Jurek D. i Marian W. Obaj synowie przywaciarzy, nadziani, sprytni, pomyslowi. Wieczorami rozbijaliśmy żarówkę na słupach, łamaliśmy młode drzewka, raz nawet poprzewracaliśmy słupy z rozkładami jazdy na przystankach autobusowych. Potem był plan włamania się do naszej szkoły po karabinki sportowe i amunicję lub napad na milicjanta. Okazałem się jednak na to za miękki. Do szkoły poszli Jurek i Marian. Potem oglądałem pokój nauczycielski z rozbitymi szafami, połamanym biurkiem i pociętym dywanem. Może pan wierzyć lub nie, ale poczułem się podłe. Ale nie przyznałem się. Wkrótce obaj wpadli. Pomimo zależności od ojca, triumfowałem nad nim. Chyba po raz pierwszy dostrzegłem moją rację. Lub może swoją pomyłkę?

*

PIOTR: Myśli pan zapewne, że jestem tchórzem, a tak nie jest. Ja po prostu nie nadaję się do tych spraw. Na procesie, kiedy miasto podzieliło się na dwa obozy, potępiając albo uniewinniając kolegów za to włamanie, czułem zwykające upokorzenie. Wy-

dawało mi się to wszystko takie małe, prymitywne, bez odrobiny wyobraźni. Ja inaczej pojmuję bohaterstwo. Również inaczej pojmuję bunt. Jeśli jestem przeciwko ojcu, przeciwko jego mentalności i pojmowaniu pewnych spraw, to nie znaczy, że muszę od razu kraść czy tłuc lampy uliczne.

JA: A mimo to masz już swoją „sprawę”.

PIOTR: Pan w to uwierzył?

JA: Znam opinię miasteczka.

PIOTR: Lecz nie zna pan prawdy, nie zna jej nikt, mo- że tylko ojciec, chociaż trudno go podejrzewać o taką premedytację i wyrachowanie. Ale jest sprytny i to pasowałoby do niego. Za jednym zamachem mieć pieniądze i za nie odpowiadać! Mądre pomyślane.

JA: A twoja reputacja?

PIOTR: Mnie już nie nie zaszkodzi. Ludzie w M. nie są naiwni. Zapewniał pan. Przecież wszyscy znają prawdę, lecz każdy podtrzymuje oficjalną wersję. To swego rodzaju solidarność kupcyków i sklepikarzy. Każda taka draka jest przeciw ojcu. On wie o tym, ale wstyd mu się cofnąć. A ja czekam.

JA: Na co?

PIOTR: Stary skruszeje, nie wytrzyma na dłuższą metę. W

cukterni trzeba harować, to niewąski młyn, ledwo nadążają na trzy zmiany. Nie chwalać się, znam się na cukiernictwie, potrafię krecić niezgorsze torty. Mogłbym zastąpić starego przy piecu. Teraz, kiedy mamy nową piekarnię, można wyciągać o wiele więcej.

JA: Przekonywałeś ojca?

PIOTR: Przecież on widzi mnie na dyrektorskim fotelu z dyplomem inżyniera w kieszeni.

JA: Pomimo twojej sprawy?

PIOTR: Oczywiście. W przyszłym roku znów każe mi zdawać na politechnikę.

JA: A ty? Ulegniesz?

PIOTR: Chyba znowu sprawię mu jakąś niespodziankę.

*

Odwiździłem kawiarnię, gdzie za brudnym kontuarem z kłapką na muchy siedziała starsza kobieta, matka Piotra. Leniwym ruchem zganiała zielone muchy z ciastek, wypełniających prymitywną gablotę.

Na pytanie o pożar, matka Piotra z niechęcią mówi, że ona jest od sprzedawania ciastek i parzenia kawy, a nie od ognia. To sprawa straży pożarnej i milicji. Gasili przecież, to wiedzą. Nie lokal, ale

wytwórnia się spaliła. Niech tam idzie do starego.

Ponownie wracam do domu Piotra i okrzykujący budynek trafia do elastyczności. Huczy maszyną do ubijania piany i hałasuje sprężarka do lodów. Wszędzie okrzyki ciasta, zapach olejków, przypraw, trzask gnieczonego butami cukru, rozsypanego na podłodze. Gorąco. Otyły, włochaty, mokry od potu mężczyzna uklada na brytfannie ciastka. Młody chłopiec, także z gotym torsem, wybiera popiół.

— Pożar? — mówi wolno właściciel i patrzy na mnie wrogo i nieprzyjemnie. — Zaproszył się ogień to się i spaliło. W straży mają oficjalny protokół.

Przypominam mu wersję o podpaleniu.

— Kto? Piotrek? Cholera go tam wie, może i on. Co mu szkodzi puścić z dymem zakład czy dom? Oni dziś nie szanują ludzkiej pracy, walczą się, chuligania. Ale przecie nie pójdę świadczyć przeciw własnemu synowi. Taki dumny nie jestem. On musi iść wysoko, panie, ja na niego pracuję, będę kozył na studia, jak będzie trzeba, to kupię mu te dyplomy, ale musi zostać kimś. Niech wiedzą, że nie wypadł sroce spod ogona. Myśli pan, że nie jest zdolny? Oho, panie kochany, ten chłopak, jakby chciał, to

zaszedłby do Łodzi albo i do samej Warszawy. Ale głupie to to jeszcze, nie nie rozumie. Mówi pan o POM. Bzdura. Byłem tam i powiedziałem, aby szczeniaka nie przyjmowali, niech się pomęczą. Ja sam o mało nie płaczę, jak na niego patrzę. Przecież to moje dziecko, nie? Tak, mógł się zemścić, wystarczyło rzucić zapalniczkę, drzewo suche, wybuch jak proch. Ale ja tam nie będę przeciwko własnemu dziecku, niech nikogo nie obchodzi, co mamy między sobą...

— Słyszałem — mówię — w Radzie Narodowej, że ten pożar to lipa, że to pan sam, dla uzyskania odszkodowania...

Rzuca formę na podłogę, strąca cukier-puder, który białą kałużą rozpryskuje się na podłodze. Jestem przygotowany na najgorsze, lecz cukierki nie ma zamiaru rzucić się na mnie. W jego twarzy dostrzegam niby strach, który szybko ustępuje miejscą przebiegłości.

— Bzdura! Co to za pieniądze z PZU, te marne grosze? Myśli pan, że bym się narażał dla jakiegoś tam odszkodowania, przecie to czyste nonsens. Mogłbym to ich całe PZU kupić razem z urzędnikami i jeszcze nie umarłbym z głodu. Ja, panie, jestem uczciwy

rzemieślnik, haruję od świtu do nocy, nie znam co to urlop, niedziela, wczasy, wypoczynek. W mojej branży nie można rzucić wszystkiego i pojechać na ryby. Innych krew zalewa, że dorobiłem się, że mam to i owo, że mnie stać. Ale też i cena tego wszystkiego jest wielka. Ja wiem, ludzi kole w oczy, że do mnie przychodzą doktorzy, adwokaci albo i sam prokurator. Ich to boli, bo do nich pies z kulawą nogą nie zajrzy. Bo ja już jestem kimś, rozumie pan? A mój syn musi być jeszcze większy, musi zająć tam, dokąd mi się nie śniło. Musi, albo szlag nas wszystkich trafi razem z tą cukiernią.

Nie, nie poszedłem więcej do Piotra.

Opuuszczając miasteczko M. nie byłem tak pewny tych jego racji. Coś się przecie zmieniło, czego nie potrafi dostrzec ojciec, a co dojrzał już jego syn, choć nie umie jeszcze określić tych przemian, ani ich w pełni zrozumieć. Być może Piotr B. postawi na swoim, rozpocznie pracę, może nawet zapíše się do jakiegoś technikum, lecz nie mogę jakos uwierzyć, aby za kilka lat stał się podobny do ojca. Nie ta epoka.

EUGENIUSZ IWANICKI

str. 5

WIKTOR SOSNORA

Puszkina w Michajłowsku

Odleciały ptaki i liście.
Niebo — niby wodne znaki.
Pośród szklanych oranżerii chodzą
Czapla biała, jak panna w białej,

Pomrukuje ogień.

Migają

Wielookie kandelabry.
Jesteś sam. W tym drewnianym domu
Drewniana cisza śpi.

Odleciały pszczoły do uli,
A na niebie niewidzialne duchy.
Jeszcze wczoraj popelżył ślimak
W zimne wnętrza ziemskiego globu.

Jesteś sam w tym drewnianym świecie.
Błyskawicą czarna po papierze
Pióro wróci bez przerwy biegnie,
Zaczerniają się brudnopisy.

Pszczoły w ulach, ślimaki w ziemi.
Ptakom także opadają skrzydła.
O przelotne ptaki, gdzie wy?
Całkiem puste filice nieba.

Za szklanymi kratami chodzą
Czapla w białej balowej kreacji.
Kreśli dziobem na szklach zamglonych
Swoje ptasie znaki wodne.

ALEKSANDER SZEWIELIEW

Pisujecie listy do swych matek,
bez kłamstwa piszcie
i po prostu.

One czekają

w każdy ranek,
Naprzykrzają się listonoszom.
A nasze listy
w głos czytają.
Chowają skrzętnie za ikoną,
siedzą i myślą,
czasem płaczą
bezdźwięcznie, cicho, po kryjomu.
Odpowiadają bez pośpiechu,
na pocztę list odnośzą
same.

sprawdzają jeszcze raz adresy —
by znowu czekać na odpowiedź...
Pisujecie listy do swych matek,
bez kłamstwa piszcie
i po prostu.

One czekają

w każdy ranek
Naprzykrzają się listonoszom.

NORA JAWORSKA

Nie jestem ideal? Tak, lecz wiesz —
W miłości takich wcale nie ma.
A ty przebaczasz niebu deszcz?
A ty przebaczasz upał ziemi?

Przecież się nie rozproszą mgły
Od przekleństw nadaremnych...
Ty ze mną — jak pod niebem idź,
Idź ze mną — jak po ziemi.

IRENA SIERGIEJEWA

Namalujesz mój portret może
kiedy przyjdzie ci na to ochota.
To ciekawe będzie — spojrzeć
i zobaczyć, czy jestem podobna.
Są ode mnie młodsze,
Są też i piękniejsze...
Widzę twarz i oczy.
A gdzie, a gdzie serce?



Rys. E. Ingłot

WIKTOR MAKSIMOW

Po bitwie

I tylko nad ranem
burza się biesiła,
i chmurą, którą widać przez majaki snu
za włosy deszcz
po trawie włóczyła,
srożyła się

i przycichała znów.
I więcej nic w tę noc się nie zdarzyło.
Tyle, że ucił krok żołnierza w gęstwie,
tyle, że z ran

sączyło się,
sączyło,
aż się przestało sączyć wreszcie...

Lecz tak ta krew

czarnoziem nasyciła,

że pokraśniało

w dall maków wzgórze,
w aortach niewidzialnych cicho się pieniła,
we wnętrzach ziemi
wciąż rosnący strumień.

LEONID CHAUSTOW

Newski prospekt

W szynelu na mój wzrost za długim
(Nie było innych w magazynie)
Mokry, schlastany przez szarugl,
Zegnałem miasto swe jedyne.

Jakie ty jesteś?

W pytaniu niemym,
Smutek, wiara i kochanie,
I to ostatnie już spojrzenie
Na pożegnanie — przed rozstaniem.

I nagle myśl zupełnie zwykła,
I nagle spokój niespodziewany!
Na igłę gmachu Admiralicji
Jak nie jest Newski nanizany!

OLEG SZESTYŃSKI

Pachnie ciemna dolina jodły zapachem mocnym,
Pachną lipcowe wiatry daleką falą słoną,
Słońcem południa pachną sosny gałęzie mokre,
Niesie od młodych brzoźek — dziewczęcą prawie
wonią.

Jeśli bym przestał widzieć,
Jeśli by w noc zamgloną
W ciemne oddale cudze wrogowie mnie zawiedli,
Ojczyzno, znalazłbym cię po tej właśnie woni,
Co z ziemi twej wierzbowej i tam by mnie
dobiegła.

Jak szczerze deszcz jesienny rosi,
Jak prosty zapach z niego się wylania!...
A ja — samotny...
Mam przyjaźni dosyć,
Z niej się wyrasta, widać, jak z ubrania
Z tej, której jak wino nalane,
Tym jest smaczniejsze

Im nalano więcej;
A potem tylko te wspominki ciężkie,
I serce niby cudze bije rano.
Więc — innej przyjaźni dzisiaj pragnę!
Której i walka i bitwa nie zmienią...
Żeby z nią można, jak kiedyś, jak dawniej —
Na koniach, w pole, ramię przy ramieniu!

Tak wiele w życiu tej głupoty wiecznej!
Lecz żadnych błędów sobie nie wybaczę
I znowu przyrzekam sobie — „Będę lepszy”.
Prawie tak samo jak w dzieciństwie matce.

GLEB GARBOWSKI

Kogoś ochrania skóra,
kogoś — jutro miłe.
Jednych chroni — kultura,
innych — dobry posiłek.
Ciebie chroni — pomada,
jogo ratuje — robota.
Mnie nie ratujcie — nie trzeba,
jakoś nie mam
ochoty.

Przełożył: MAREK WAWRZKIEWICZ

MAREK WAWRZKIEWICZ

POECI LENINGRADU

To prawda: literatura jest niepodzielna. Przynajmniej zaś nie można jej zieleć tak, jak się to na długie lata u nas przyjęło; nie ma przecież osobno literatury „młodej” i „starej”, nie ma literatury „lódzkiej” i „warszawskiej”, jest po prostu polska literatura. Podzielić ją potrzeb-

ne dopiero wtedy, kiedy zaczynamy rozważać, czy jakaś twórczość już do literatury należy, czy jeszcze nie. I to jest właśnie jedyne kryterium podziału, kryterium artystyczne, na które składa się przecież tak wiele pojęć. Bo skłonny byłbym sądzić, że w sformułowaniu „kryterium artystyczne”

jest nieco więcej znaczeń, niż by się to pozornie wydawało, a w każdym razie nie można go ograniczać do roli metrum odmierającego czy wyważającego czysto literacką wartość dzieła. Kiedyśmy odeszli i kiedy coraz bardziej odchodzimy od artystowskich wzorców wartości, coraz bardziej bierzemy pod uwagę coś, co się kryje pod (mglistymi czasem) pojęciami „zaangażowania”, „społecznej potrzeby dzieła”, jego znaczeń kształtujących i kształtujących.

A więc — istnieje tylko jeden prawdziwy, choć oczywiście nieprecyzyjny i subiektywny podział. Sądząc tak, nie zapominam o kryteriach tematycznych, o ukierunkowaniu dzieła literackiego na określoną grupę zagadnień społecznych, o próbach „regionalizacji” tema-

tu”. Jednakowoż te ukierunkowania są zupełnie naturalne, a ich pozorna wąskość nie przeczy zupełnie temu szerokiemu i jedynie prawdziwemu podziałowi. Tym bardziej, że nie istnieje już — praktycznie rzecz biorąc — ugrupowania twórcze, które w ramach manifestów i praktyki pisarskiej uniformizowałyby jakieś grupy pisarzy, które by powodowały, że literatura tworzona przez nie mogłaby być podpisana przez jedno zbiorowe nazwisko-

hasło. Zjawisko to, zjawisko indywiduacji literatury, jest mimo panujących okresowo mód i manier czymś ogromnie pozytywnym, ma oczywiście ogólny, nie tylko polski charakter. Zapewne istnieje jeszcze cała grupa literatur (m. in. w Związku Literackim), które wyrasta-

ją z jednego pnia tematycznego, a przede wszystkim — tkwiąc bardzo mocno korzeniami w narodowej sztuce ludowej, stwarzają pozory monolitu. Oparty się one jeszcze — nieraz dość skutecznie — zwo- nym czasem pokusom nowo- cześnieści, ich warsztat twórczy oparty jest o zdobycze formal- ne sprawdzane niekiedy przez całe wieki. W warunkach jed- nak życia wielkich organizmów miejskich coraz trudniej napot- kać przykłady unifikacji, przy- kłady wspólnot formalnych. Publikacja mniejsza chce być wstępem do zamierzonego cy- klu prezentacji poetów żyją- cych i tworzących w Lenin- gradzie, wszystko zaś, co po- wiedziałem wyżej, miało zasłu- gerować, że wśród poetów te- go wielkiego i pięknego mia- sta nie ma (na szczęście nie

mał) wspólnoty warsztatowej, formalnej, nie ma jednakowych celów poetyckich i różne są drogi, którymi do tych celów podążają.

Leningrad posiada liczne śro- dowisko poetyckie. Wystarczy powiedzieć, że Leningradzki Oddział Związku Pisarzy Ra- dzieckich skupia ponad czterysta osób, z których przynaj- mniej trzy czwarte uprawiało kiedyś lub w dalszym ciągu uprawia poezję. Liczy te nie byłoby jeszcze imponujące, gdyby nie fakt, że poezja cie- szy się w Związku Radzieckim ogromną popularnością, z cze- go wynikają dalsze konsekwen- cje: ogromna jest też ilość lu- dzi próbujących pisać, skupio- nych w Kole Młodych, pracu- jącym przy Związku Pisarzy i działających poza nim. Ka- dy niemal rok przynosi nowe

Przeszłość i teraźniejszość

Jest w dziejach naszej myśli historycznej rafa, na którą napotyka każdy jej badacz i — jak dotąd — stara się ją możliwie najdokładniej... wyminąć. Myślę o historiozofii polskiego mesjanizmu, niegdyś równie popularnej, co dziś zapomnianej, owym specyficznym sposobie myślenia o przeszłości i przyszłości Polski, który w dziewiętnastym stuleciu był własnością nie tylko poetów i filozofów, ale miał wielu wyznawców zwłaszcza wśród pokolenia, które przeżyło Powstanie Listopadowe. Mesjanizm — w tamtych warunkach społecznych i politycznych — był jakąś próbą uzasadnienia własnych nadziei i tęsknot, których nie zrealizował ruch roku 1831, był jakąś próbą wytłumaczenia sobie i innym, że upadek Polski jako owo pokolenie przeżywało szczególnie dotkliwie wziął się nie z niej samej, lecz że był ofiarą konieczną wyniku z wielkiego planu Providence, która wyznaczyła Polsce rolę odkupiciela win narodów i która ziści przez jej odrodzenie powszechne odrodzenie się ludzkości. Historiozofia mesjanistyczna w

Polsce była protestem przeciw pesymizmowi epigonów pokolenia epoki stanisławowskiej, spoglądających na upadek Rzeczypospolitej przez pryzmat własnych win, nie zrealizowanych projektów naprawy, zawierata ogromny ładunek nadziei i chyba to właśnie przyczyniło się do jej także szerokiej popularności. Jeszcze u schyłku XIX wieku będą wciąż aktualne polemiki z tym właśnie kształtem myślenia o przeszłości i przyszłości narodu, przeciw niemu będą kierowali największe sue pociski koryfeusze krakowskiej szkoły historycznej i umiarkowani, powściągliwi w sądach skłaniający się ku nurtowi pozytywistycznemu dziejopisowie warszawscy. Z jakim skutkiem?

Jeśliśmy wykroczyli poza ściśle określone po-dwórko filozofii i literatury, na którym pozostają najczęściej badacze polskiego mesjanizmu, dojrzelibyśmy niechybnie, że owa historiozofia wyrastająca z tradycji wieszczów zaktualizowała się w naszej myśli historycznej na przełomie XIX i XX stulecia, w dobie reorien-

tacji poglądów na przeszłość narodową, skierowanej przeciwko stańczykowskiemu krakowskiemu szkole historycznej. Myślę tu nie tyle o ultraoptymistycznej, ultra-apologetycznej historiozofii Stefana Buszczyńskiego, ale o tych wszystkich, którzy w kilka zaledwie lat

z pierwszego piętnastolecia naszego wieku, które kiedyś odegrały swoją rolę... ANDRZEJ WALICKI w pięknej książce „Filozofia a mesjanizm. Studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego” (PIW 1970) z do-brym skutkiem wprowadza

wyrażnie zakreslił cel, do którego zmierza. Nie myśli „wskrzeszać” polskiej „historiozofii narodowej” w mesjanistycznym stylu, jak tego pragnęliby grasujący i dziś po Polsce maniacy, nawracający rozmówców i słuchaczy siła na... Hoene-Wrońskiego. Walicki stwierdza wprost: „daleki jestem od jakichkolwiek prób modernizującego „aktualniania” romantycznej filozofii polskiej, sądzę jednak, że warto i należy wydobyć jej wartości ideowe oraz ukazać jej doniosłość w intelektualnej historii Polski. Zależy mi na oddaniu sprawiedliwości myślicielom, którzy w dotychczasowej historiografii marksistowskiej traktowani bywali w sposób krzywdzący oraz na generalnej rehabilitacji polskiej filozofii romantycznej jako problemu badawczego, na wykorzystaniu pozytywistycznych i wszelkich innych uprzedzeń wobec niej, na wykazaniu, że jej poważne studowanie nie jest bynajmniej zajęciem intelektualnie jałowym. Sympatyzuję z poglądem Brzozowskiego — powiada dalej Walicki — dla którego zaniedbanie studiów nad filozofią i myślą społeczno-religijną naszego romantyzmu oraz brak roznowień dzieł głównych jej przedstawicieli były

prawdziwym „skandalem kulturalnym”.

Jest to głośne wyzwanie, rzucone przez wybitnego historyka filozofii jego kolegom po fachu, jakże często bagatelizującym badania nad filozofią polską, uważaną z góry za wtórną i nieciekawą, przedkładającym studia nad mniej lub bardziej „wielką” obcą myślą filozoficzną, oczywiście zachodnioeuropejską. Rezultaty, skonkretyzowane w książkach i artykułach, nie zawsze dają sprawiedzenie tych ambicji. Prawda, że i stanowisko przeciwnie też nie zawsze sprawdzało się w praktyce badawczej — przykładem głośna i nieudana książka pewnego autora o Wiszniewskim. Nieudana jednak dlatego, że źle wykonana, nie zaś dlatego, że traktująca o pseudoproblemie. Historyk sympatyzuje z postawą Walickiego i z zaciekawieniem zagłębia się w lekturę tej książki, która oby stanowiła zapowiedź dalszych, szeroko zakrojonych badań. Walicki nie mógł ogarnąć w niej całości problemu, skupił się na wybranych postaciach i wybranych zagadnieniach, nie tknął problematyki historiograficznej... Kiedyś wypadnie to komuś uczynić.

JOZEF GRZELAK

NIEJASNOŚĆ POLSKIEGO MESJANIZMU

po śmierci tego myśliciela i publicysty tracili podobną strunę, czyniąc to mniej lub bardziej głośno. Przypominam więc niektóre wypowiedzi ówczesnych młodych historyków, przywołuję na pamięć publicystykę Artura Górskiego i wiele innych, zapomnianych dziś tekstów

trochę porządku do naszego myślenia o mesjanizmie polskim. Niewiele miał poprzedników — Ujejskiego, autora obszernej książki, ogłoszonej w 1931 r., Chrząnowskiego, o którego ciekawym szkicu zresztą nie wspomina, kilku nowszych badaczy. Historyk filozofii

KAROL BADZIAK

OPOWIADANIA BEZ EPITETÓW

Dawno nie czytałem tak łódzkie opowiadań o tak uniwersalnych wartościach. Ich akcja toczy się na peryferiach Łodzi, ale nie na peryferiach literatury. Mowa tu o zbiorze najcenniejszych nowel Jerzego Waleńcyka pt. „Zdąbło trawy i gwiazda” (*). Poetycka to i melancholijna proza, bardzo autobiograficzna. Autor urodzony w Łodzi, wychowany na łódzkim podwórku, zadaje sobie pytania, które świadczy o głębokiej samowiedzy. „Z tego podwórka wyruszyłem w krainę poezji. Nikt mnie nie odprowadzał choćby słowem zachęty, nikto nie objaśniał mi ciemności dumnego królestwa. Potem od czasu do czasu, na dźwięk nierzeczywistych błyskawic jakieś światła o zmierzchu, bo to jest odpowiednia pora do kontynuowania wyprawy. Czy można je mierzwić zdarzeniami? Co się nazywa zdarzeniem na tej drodze? Czy może źródło poezji tryskać z mego fabrycznego podwórka?” („Podwórko mego dzieciństwa”).

Takie pytania stawiają dzieci, mędrcy i poeci. Przyznaj, że je-

stem pod urokiem tej prozy. Talent Waleńcyka jest autentyczny. Nowelki jego są utkane z drobnych, zwyczajnych, prostych, ludzkich marzeń. Motyw marzeń przewija się prawie przez całą książkę. W epoce, kiedy ludzie marzenia zastąpili planowaniem, wydawać by się mogło, że ta proza oderwana jest od realnej rzeczywistości, tymczasem jest przeciwnie. Opowiadania utrzymane w konwencji „małego realizmu” nie są ani wydumane ani udziwnione. Waleńcyk tkwi ich fabule z materii zwanej codziennością.

„Kaloryfery mają piętnaście żeber, kolega ma o jedno żebro za dużo, jak stwierdziło specjalne konsylium. Można więc przeżyć trzydzieści lat i nie wiedzieć, że ma się o jedno żebro za dużo, można więc przeżyć całe życie, nie wiedząc, że ma się o jedno dziecko za dużo, że ma się o jednego ojca za dużo”. („Listy”).

Opowiadania te wyrastają z ducha groteski i życzliwej przekory wobec świata, gdzie ludzie marzą

o samochodach, karierze i Wyspach Kanaryjskich. Bohater Waleńcyka marzy o posiadaniu białej, czystej koszuli i o smacznej kapuście z grochem. Wygrzywanie kontrastów jest jedną z reguł tej prozy. Zawarta jest w niej opozycja wobec zracjonalizowanego i zmechanizowanego świata, ale opozycja to łagodna, życzliwa i wyrozumiała. Waleńcyk nie jest „młody wściekły”, bohaterowie jego opowiadań nie jeżdżą, nie biegają; poruszają się wolno, prawie snują po świecie. Nie uważają również, że są najlepsi, najdoskonalsi, najmądrzejsi, a świat wokół nich składa się z drani, głupców i cwaniaków. Przeciwny bohater współczesnej młodej prozy jest przeważnie wypełniony pogardą dla otoczenia, dla tłumu, dla społeczności. Spotkałem u Waleńcyka tylko jedno określenie tłumu i to raczej zabawne. Cytuję z pamięci: „Szeli tłum, sztywny, jak worek bawełny”.

„Brzydkie epitety to nie moja domena — stwierdza bohater opowiadania „Krajobraz absolutnego dnia”. — Jestem człowiekiem poważnym, spokojnym i nie mam bardziej obcego, niż brzydkie epitety pod adresem życia”. Rzeczywiście. Przyjaj, miłość, ludzka solidarność, dzieciństwo, wewnętrzne kontakty rodzinne — wszystko w płaszczyźnie psychologicznej, to krąg szczególnych zainteresowań autora. Punkt wyjścia zawsze humanistyczny. Pochyla się Waleńcyk nad losom swych bohaterów w sposób łagodny i wielkoduszny, bez cierpkiego moralizatorstwa i przygany. Konstrukcyjnie każda nowelka jest fragmentem, wycinkiem, pozornie blagiego zdarzenia. Ale wbrew pozorom nie jest Waleńcyk pisarzem intuicyjnym, jest pisarzem świadomym, zna do-

kładnie tajniki pisarskiego warsztatu.

Tak się zaczyna jedno z jego opowiadań:

„Bo to jest historia bez początku i bez końca, jakich wiele jest w naszym życiu, choć upieramy się ze śmieszna powaga przy historiach, które mają swój początek i koniec, choć wydaje się nam, że każda historia naszego życia powinna mieć kłamek dialektyczną, powinna być taka, aby z niej coś wynikało, ale ja nie jestem winien temu, że z wielkością wypadków naszego niepo-

ważnego życia absolutnie nie nie wynika, jakkolwiek uporczywie, z samozaparciem i rozgoryczeniem szukamy konwulsyjnie pięknej po-
inty(...)”

Ta historia jest historia bez moralu. Nie znaczy to, że chce kogoś zniechęcać do życia, albo coś brzydkiego powiedzieć na nie, bo po co”.

* Jerzy Waleńcyk — „Zdąbło trawy i gwiazda”. Wyd. Łódzkie, 1970, cena 11 zł.



nazwiska utalentowanych poetów młodszych pokolenia, którzy bardzo często debiutują na łamach nie tak dawno ukazującego się, wielce interesującego miesięcznika „Aurora”, wychodzącego w niebagatelnym nakładzie ponad 100 tysięcy egzemplarzy.

Ten masowy niemal ruch poetycki, ściśle odpowiadający na naprawdę masowe zainteresowanie publiczności poezją (nakład nawet debiutanckich tomików wydawanych w Leningradzie nigdy nie jest mniejszy niż 10 tysięcy egzemplarzy) ma swoje chlubne i długocenne tradycje historyczne, poczynając od żyjących i tworzących tu przecież: Puszkina i Niekrasowa. Ale nie sięgajmy zbyt daleko — przecież właśnie to miasto było jedną z kolebek i jednym z centrów za-

równie rosyjskiego symbolizmu jak i futuryzmu. Tu powstawały lizające się nie tylko w kulturze Rosji ugrupowania poetyckie, tu kształtowały się i rozwijały prądy i kierunki literackie promieniujące przecież na cały Zachód Europy, m. in. i na Polskę. W Leningradzie właśnie znajduje się, pietyzmem otaczany przez mieszkańców tego miasta, grób Aleksandra Bloka, w Leningradzie żyła i zmarła jedna z najwybitniejszych poetek świata, Anna Achmatowa.

Poezja, która współcześnie rodzi się i rozwija w Leningradzie, w oczywisty sposób pozostaje pod wpływem tych jakże różnorodnych tradycji i czerpie z nich swoje soki żywotne. Jest więc — choćby tylko dlatego — bardzo różnorodna i nie poddaje się próbowi za-

kwalifikowania jej jako odrębnej całości, jakimś specyficznymi przymiotami wyodrębniającymi ją z całej literatury radzieckiej. Tym niemniej można by chyba znaleźć zasadę, w konfrontacji z którą wiele różnych poetów dałoby się zjednoczyć w bardzo umownym pojęciu „poezja leningradzka”. Kluczem do tego zabiegu będzie zapewne sprezy-zowanie kilku tematów, które podejmowane są przez wszystkich niemal poetów Leningradu.

Jednym z takich naczelnych tematów-kluczy jest z pewnością zafascynowanie historią miasta, tymi czasami, kiedy Petersburg był miastem stołecznym i jedynym właściwie liczącym się centrum kulturalnym Rosji — tzn. miastem, w którym nie tylko mieszcili się

wszystkie główne urzędy państwowe, ale również tym, do którego ciągnęli najwybitniejsi ludzie literatury, sztuki, muzyki. Działająca atmosfera Leningradu, ogromna dbałość o spotykane na każdym kroku świadectwa świetności sprawia, że poeci Leningradu bardzo często podejmują tematy historyczne, konfrontują je z rzeczywistością, odwołują się do dziejów swego miasta. Miasta, które przecież było kolebką Rewolucji Październikowej — co też wielokrotnie znajduje odbicie w leningradzkiej poezji. Drugi temat, nader często podejmowany, wynika również z historii, ale z historii najnowszej. Długotrwała, okrutna blokada spowodowała stosunkowo niezbyt wielkie zniszczenie Leningradu, spowodowała jednak śmierć olbrzymich rzesz

ludzkich. Śmierć nie tylko od kul i bomb, ale właśnie śmierć najstraszniejszą — od mrozu i z głodu. Pamięć o tych długich dniach jest, ciągle żywa, nie więc dziwnego, że wracają do niej nieustannie poeci wszystkich pokoleń — zarówno ci, którzy tych okropności doświadczyli, jak i ci, którzy je znają tylko z opowiadań.

I trzeci, stosunkowo najtrudniejszy do sprecyzowania i stosunkowo najmniej już „leningradzki”, własny tylko dla poetów tego miasta. Poeci radziecy — co wynika w ogóle z rosyjskiej tradycji literackiej — są szczególnie wrażliwi na to, co tak rzadko odzwierciedla się we współczesnej poezji polskiej, na piękno przyrody. To też wiele jest w poezji twór-

czej w Leningradzie wierszy „pejzazowych” i „krajobrazowych”, wierszy, których prostota opisu łączy się z uwielbieniem dla piękna odczytanej ziemi. I pewnie bezpośrednio z tego wynika fakt, że poezję leningradzką inspiruje często zwykłość, codzienność: obserwacja uliczna, wspomnienie jakiegokolwiek powszechnego wydarzenia, zwyczajna, przypadkiem nawiązana rozmowa.

Zdaję sobie sprawę z nieścisłości i nieprecyzyzności tych uogólnień. Ale przecież uogólnienia na temat poezji są w gruncie rzeczy zawsze takie. Najlepiej i najdokładniej mówią o poezji — wiersze.

WŁADYSŁAW
RYMKIEWICZ

„CIENIE”



Zygmunt Malawski i Ewa Zdzieszyska

Fot. A. Brustman

HENRYKA IBSENA „John Gabriel Borkman” wystawiony pod zmienionym tytułem „Cienie”, to dramat o zawiedzionych nadziejach i straconych złudzeniach. Ten motyw przewijający się przez cztery akty dostrzega współczesny widz przede wszystkim, nie interesując się już chyba tym, co mogło w sztuce Ibsena (napisanej w 1896 roku) fascynować widzów z końca ubiegłego stulecia, a więc, demaskacja pozorów romantyzmu w postaci Johna Gabriela, kultem pieniądza, potęgą złotego ciela, uwarunkowaniami materialnymi człowieka itp.

„John Gabriel Borkman” jest dziełem scenicznym wieloznacznym, a raczej — może słuszniej byłoby powiedzieć — wielowarstwowym, może być odczytywany różnie w różnych czasach, i ta wielowarstwowość w głównej mierze przyczyniła się do jego długowieczności pomimo irytującej (zwłaszcza w czwartym akcie) maniery melodramatycznej. I chociaż nie można przykładać do „Borkmana” najwyższej miary ibsenowskiej, to jednak dzięki różnorodności materii dramatycznej oparł się on i opiera złośliwością, jakie pod jego adresem kierowali wielcy ludzie, jak George Bernard Shaw (który twierdził, że od chwili bankructwa „Borkman jest jakby trupem wystawionym na katafalku w najbardziej ponurej atmosferze, jaka kiedykolwiek wyszła spod pióra dramaturga”) lub jak francuski mąż stanu Clemenceau, utrzymujący w ogóle, że „Ibsen to pila ostrzona na lodowcu”. Echa złośliwości będą się może jeszcze nie raz odzywały, a karawana dzieł Ibsena będzie szła dalej przez sceny wielu teatrów.

Przysłuchując się sześciu posta-

ciom scenicznym „Cieni” na ogólną liczbę siedmiu, orientujemy się od początku i dość szybko, że ich wypowiedzi to nadzieje i złudzenia, które nie ziszczą się nigdy. Surowa żona Borkmana, Grunhilda, nie doczeka się nigdy dnia, o którym marzy jak o dniu tryumfu, w którym jej syn Erhard mógłby zrehabilitować swego ojca a jej męża, Borkmana, malwersanta i bankruta. Ewa Zdzieszyska w roli Grunhildy dała przejmujący wyraz obsesyjnemu nadziejom, dreczącym upokorzoną przez życie żonę Borkmana, jak również obsesyjnym nienawiściom do męża i siostry. Rekrutacja i urazy wypowiedziane w półtonach, bez podnoszenia głosu sprawiły silniejsze wrażenie niż krzyk rozpacz lub nienawiści. Cała postać Grunhildy w wykonaniu Zdzieszyskiej była skondensowaną furia i szaleństwem, trzymanym w ryzach.

Zygmunt Malawski w roli Johna Gabriela Borkmana, opętanego namiętnością myślową i manią urojonej wielkości wykazał wielostronne możliwości swego warsztatu aktorskiego. Doskonale zabrzmił fałszywy patos w banalnym powiedzeniu „Życie nie jest zawsze tym, co najdroższe”. Dobrze były rozłożone akcenty żalostnej nadziei w połączeniu z desperackim przekonaniem, że „Ten, kto upadł, musi się podnieść i iść dalej”. Również przez napoleońskie pozy i dumną postawę jako symbole mocy Malawski scharakteryzował wyrażenie postać bankruta i kabołyna, który ludzi się, że uda mu się zacząć życie na nowo i odzyskać utraconą pozycję społeczną. Tutaj warto przypomnieć to, co już należy zapisać tylko na rzecz ibsenowskiego geniuszu, który — jak to się zdarza w manifestacjach wiel-

kiej twórczości — wyprzedził w swej odkrywczości późniejsze zdobycze nauki. W 1900 roku Zygmunt Freud opublikował po raz pierwszy swoją teorię nerwicy. W 1910 roku Alfred Adler, uczeń Freuda odszedł od grupy psychoanalitycznej swego mistrza kładąc założenia pod własną teorię, według której (mówiąc najogólniej) rozwój i działanie człowieka są zdeterminowane przez dążenie do osiągnięcia mocy (autorytetu, przewagi, sukcesu itp.). Pamiętając, że „John Gabriel Borkman” został napisany w 1896 roku, a więc na czternaście lat przedtem, zanim Adler opublikował swe rewelacje, można widzieć w Borkmanie, bohaterze Ibsenowskiego dramatu, model — prawdy Adlerowskiego ujęcia człowieka, który — jak Borkman — zamknięty w zaciszu domowym, krążąc godzinami po swym pokoju jak wiewiółka i snując pozbawione widoków urzeczywistnienia plany i sny o potęgę mierzą prostą drogą do nerwicy czyli „schorzenia wywołanego zaburzeniami układu nerwowego na tle urazu psychicznego” po bankructwie, odbytych karze więzienia i przeciwnościach, jakie układ stosunków międzyludzkich stawia jak bariery wprost przeciwko jego dążeniu do odzyskania utraconej pozycji społecznej wielkiego finansisty.

Trzecia postać dramatu, Ella, również żyje iluzją, że uda jej się zatrzymać przy sobie siostrzeńca, o którego walczy z jego matką, Grunhildą, i który ma upiększyć swą młodociałość ostatnie lata życia schorowanej Elli. Barbara Wałkówna ucharakteryzowana na damę jak z portretu Acentowicza zagrała pięknie rolę Elli na podobieństwo istoty napół odrealnionej, już nie z tego świata. Oszczędne gesty i ściszo-

ne brzmienie głosów Elli (Wałkówna) i Grunhildy (Zdzieszyska) w dramatycznych rozmowach siostrzy złożyły się na dialog pełen niuansów i subtelności, pod którymi czuło się nieprzejednaną wrogość.

Interesując wypadki niedołęga życiowy, niedołyła poeta i godny Borkmana fantasta Wilhelm Földal w interpretacji Zygmunta Zintla. W jego wykonaniu Földal przypominał mi chwilami nieudaczników z powieści Dostojewskiego.

Urszula Modrzyńska z dyskrecją zaakcentowała uwodzieleńskie zakusy wobec Erharda kreując postać Fanny Wilton, która także skazuje się na krótkotrwałe złudzenia szczęścia czy kariery w związku z dużo od niej młodszym Erhardem.

Marek Barbasiewicz w roli Erharda nie dorównał wysokiemu poziomowi gry aktorskiej swych partnerów i partnerów. Barbasiewicz zagrał młodego człowieka nie z końca XIX wieku, lecz — z drugiej połowy naszego stulecia, był gwałtowny zwłaszcza w III akcie, baławił się i niemal obojętny na tragedię rodziców, których opuszczał. Wydało mi się to tym dziwniejsze, że po roli Kamila Desmoulins w „Dantonie” można było spodziewać po Barbasiewiczu pogłębionych kreacji aktorskich. Urok młodości i zapal nie zastąpił osiągnięć, jakie może przynieść tylko trudny wysiłek artystyczny.

Obok walorów aktorskich wniesionych przez świetną piątkę wykonawców trzeba wyrazić uznanie dla reżyserii i scenografii. Boy nazwał teatr Ibsena teatrem surowym i mrocznym. Odniosłem wrażenie, że reżyser Olga Koszutska do pewnego stopnia zlagodziła ponurość i surowość ibsenowską, kładąc akcent na nastrojowości i melancholii, jakie można wysnuć z tekstu. Nie osłabiło to wymowy dramatu, natomiast nadało przedstawieniu bardziej statyczną formę i spokojniejszy przebieg. Również scenografia Ryszarda Kuzyszyna jak gdyby stylizowana na secesję podkreślała kameralność wnętrza, czemu zresztą sprzyjały wymiary Małej Sali. Jak zaznaczyłem już, nie straciła na tym bynajmniej wymowa sztuki, a zyskała satysfakcja, jaką widzowie odnoszą z interesującego spektaklu, wzbogaceni o refleksje, które nie kończą się z opadnięciem kurtyny.

Państwowy Teatr Nowy w Łodzi, Mała Sala. Henryk Ibsen — „Cienie” sztuka w 4 aktach. Przekład: Anna Maria Lipińska. Reżyseria: Olga Koszutska. Scenografia: Ryszard Kuzyszyn. Opracowanie muzyczne: Anna Pioszaj.



PAPROCHY

Dalszy ciąg ze str. 5

Pstryknąłem mu zdjęcie, wieczorem wywołam, może weźmie sobie na pamiątkę...

— Za darmo?
— A jak nie da?
— To wyślij zdjęcie żonie.
— A jak nie ma żony?

— To ma redaktora naczelnego, który będzie zadowolony z tak dziarskiego pracownika.

— A może on sam jest redaktorem naczelnym?

— Zna go pan? — zainteresował się paparazzo.

— Nie. I chyba się pan myli. Dziennikarze-koszykarze nie mieszka w „Antałowie”, tylko w „Swierku”.

— Ooo — zasmucił się paparazzo. Ale zaraz poweselał. — Jak mogę się mylić, skoro wczoraj widziałem go na boisku.

— Kłamie pan — powiedziałem.

— Nie, panie Makowski. Mówię prawdę. Cyknąłem mu nawet zdjęcie z piłką.

Zacząłem go sprytnie spraw-

dzić:

— Gdzie odbywają się mistrzostwa?

— W hotelu sportowym.

— Kto prowadzi?

— Warszawa.

— Były jakieś wypadki?

— Eee, nie specjalnego. Jeden

druga z Warszawy ugryzł w ucho dziennikarce-koszykarce z Zielonej Góry.

— Zgadza się — powiedziałem.

— No, sam pan widzi, że nie kłamie. Zrobiłem zdjęcie temu wy-

sokiemu redaktorowi z Łodzi, który dostał pod koszem łokciem z zęby, i temu nieszczęsnemu warszawiakowi, co w ferworze walki złamał nogę. Może się panu przydadzą do gazety?

— Nie sądzę.

— Widzę, że nie ma pan fantazji.

— A pan refleksu.

— Dlaczego nie mam refleksu? — zdenerwował się paparazzo. — Dla-

czego?

— Bo tak gada pan i gada, a tu tymczasem przysnęła panu doskonała okazja.

— Jaka? Gdzie? — wrzasnął, rozglądając się dookoła.

— Tam — pokazałem w dół ulicy.

— Kto to był?

Wymieniłem nazwisko aktorki, której zdjęcia zamówił u niego redaktorzy poczytnego „Play-boy’a”.

Wydał dziękuję i rzucił się w pogoń, roztrącając oniemiałych ludzi.

Ja pobiegłem w przeciwną stronę dżając ze strachu. Oszukałem go przecież. Nie widziałem żadnej aktorki. Wiele on teraz może się krwawo zemścić. Pstryknij mi zdjęcie i wyślij gdzie trzeba.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KSIAŻKI PISARZY ŁÓDZKICH W R. 1970

KONRAD FREJDLIH

MŁODZI

Termin „młodzi”, którym jeszcze przed paru laty krytyka obdarzała kolejne, wstępujące pokolenie pisarzy, dziś już właściwie niczego nie wyraża. Zwracaliśmy na to niedawno uwagę w redakcyjnej dyskusji „Odgłosów” poświęconej książkom najmłodszych. Debiut dwudziestolatka, będący dotąd regułą, przynajmniej w poezji, niepostrzeżenie stał się ewenementem, niezależnie od wartości literackiej pierwszej, pisarskiej próby. Jerzy Putrament, wiceprezes ZG ZLP ujawnił ostatnio w wywiadzie dla jednego z czasopism niepokojące dane na temat systematycznego podnoszenia się średniej wieku ludzi pióra zrzeszonych w tej organizacji. Czy jest to proces starzenia się ludzi, czy literatury w ogóle?

Chciałbym odpowiedzieć na pytanie przy pomocy książek, które zakłopotany położyłem przed sobą na stole. Łączy je fakt, że ukazały się w jednym roku i w jednym mieście oraz to, że napisali je ludzie, których umownie, z braku precyzyjniejszego terminu, nazwiemy młodymi pisarzami. Łączy je także to, co ich w rzeczywistości nie łączy: za parę lat jakiś gorliwy recenzent będzie w nich wyszukiwał wyznaczników pokoleniowych i zapewne, naginając treści do własnych chęci, uda mu się powołać do istnienia kolejną literacką generację, na przykład pokolenie 1970. Ale, powiedzmy to od razu, nie będzie to formacja umysłowa i artystyczna związana z określonymi zdarzeniami procesu dziejowego, które raz na zawsze utrwalają jej

ideową i estetyczną postawę. Będzie to, co najwyżej, pokolenie wędrujące, nie połączone z żadną datą i żadnym zdarzeniem, żmudnie przechodzące przez fazy swojej własnej biografii.

Tych książek jest dziewięć i z wyjątkiem jednej zostały napisane przez ludzi pomiędzy trzydziestym a czterdziestym rokiem życia. Nie ma wśród nich ani jednego debiutu, nie ma też właściwie pozycji rażąco nieudanych. Są wśród nich powieści (2), tomy opowiadań (3), zbiory wierszy (3) i jedna pozycja zbiorowa, almanach literackiej grupy WIADUKT, opatrzonej cyfrą 2. Zestawienie to świadczy, że na rynku wydawniczym ciężar ujawnionej produkcji młodych przesunął się w ostatnich latach na prozę. To dowód profesjonalizacji tej literatury, wszak poeta, jak głosił Norwid, tylko się bywa. To jednocześnie świadectwo umiejętności przystosowania się do sytuacji wydawniczej: droga poety jest dziś drogą ciemną, prozą publikuje się łatwiej i szybciej.

Ale gdy wczytamy się uważnie w te książki, przyjdzie nam skonstatować, że „przystosowanie” trzeba rozpatrywać w kategoriach daleko szerszych: jest to w istocie także, a może

nawet przede wszystkim, przystosowanie ideowo-artystyczne. Widać to szczególnie w powieści, która demaskuje się najłatwiej. Coś z tego, że formalnie są one w zasadzie bez zarzutu? Młodzi autorzy umiejętnie dawkują napięcie dramatyczne, sprawnie mieszają czasy i przedstawiają kolejność zdarzeń, tasują fabułę popisując się jak żonglerzy retrospekcji, zdobywają się nawet na snuce monologu wewnętrznego i mnożą narracyjne podmioty. Kiedy się odłamię te techniczne koturny, po scenie miotają się postacie kruche i miałkie, chrome i schematyczne.

Taką „powieścią z przeceny” jest książka Tadeusza Daszkiewicza „POSTERUNKI ZDJĄĆ”, napisana w intencjach szlachetnych, ale niedostatecznie uświadomionych. Autor mierzwi przecież wysoko: ma ambicję ukazania pierwszych dni nowej rzeczywistości społecznej w Polsce i to na tak dramatycznym odcinku jak walka Urzędu Bezpieczeństwa z reakcyjnym podziemiem. A więc sam już niejako temat wskazuje, że mamy tu do czynienia z próbą książki zaangażowanej, książki, jakby to określiła Anna Bukowska, od której „oczekuje się nie tylko syntetyzującego

obrazu rzeczywistości, ale i komentarza do czasów współczesnych”. Ale zaangażowanie poprzez temat należy do obalonych już mitów rodem z lat pięćdziesiątych. W istocie przecież o zaangażowaniu rozstrzyga nie tyle temat, co sposób jego przedstawienia. Tymczasem Daszkiewicz opiera swoją książkę na makiecie, która nawet w latach socrealizmu budziłaby uzasadnione podejrzenie o schematyzm. Są tu dwie tylko barwy: biała i czarna. Na tak przedstawioną rzeczywistość mieliby prawo wzruszyć ramionami bohaterowie książek Machajki „Rano przeszedł huragan”, czy „Niespokojny człowiek”, a przecież krytykowane były za przeoczenia lub przemilczenia. Daszkiewicz zachowuje się tak, jakby tamtych i zresztą innych jeszcze książek na ten temat zupełnie nie było, jakby to dopiero on odkrywał przed oczami czytelnika nowe, dziewicze terytorium. W konsekwencji uproszczenia ideowe prowadzą do daleko idących uproszczeń psychologicznych. Bohater książki, Piotr, wbrew intencjom autora prezentuje się raczej jako kabołyn niż świadomy swej walki strażnik nowego ładu. Realizacja rozminęła się tu z zamiarami.

Znacznie sprawniej i dojrz-

lej realizuje swój egotyczny, australijski temat Maria Siwińska w powieści „DRZEWA CHYLA SIĘ TYLKO W JEDNĄ STRONĘ”. Adaptacja nowych technik narracyjnych służy tu wydobyciu „efektu obcości”, co się autorce w całej pełni powiedziało. Siwińska spozitykowała na serio temat, który dotychczas komediowo, podśmiewał polski film. Jej „Żona dla Australijczyka”, to dramat niemożności przystosowania, w znaczeniu osobistym i szerszym, społecznym. Kilentka błąra matrymonialnego spotyka na odległym kontynencie warunki tak odmienne od tych, które ukształtowały jej osobowość, że rezygnuje z zawarcia małżeństwa i moźnoście walczy o zdobycie środków na powrót do Polski. Siwińska zdecydowała się na ujęcie statyczne: kiedy poznajemy jej bohaterkę, najważniejszą decyzję ma już poza sobą. Znacznie więcej jednak, jak mi się wydaje, obiecywało w tym temacie ujęcie dynamiczne: ukazanie psychologicznego przełomu, który taką decyzję zrodził. W konsekwencji reakcje bohaterki „Drzew” są nieco automatyczne i dadzą się sprowadzić do kilku przymiotów takich, jak upór, ozięblość erotyczna i nostalgia. Racje moralne gdzieś

MGR ANTONI SZRAM, JEST KONSERWATOREM ZABYTEKÓW M. ŁODZI, HISTORYKIEM SZTUKI, KRYTYKIEM, A TAKŻE DZIAŁACZEM TOWARZYSTWA PRZYJACIOŁ SZTUK PIĘKNYCH W ŁODZI. ZWRÓCIŁSIĘ WIĘC DO NIEGO Z KILKOMA PYTANIA-MI NA TEMATY ZWIĄZANE Z JEGO DZIAŁALNOŚCIĄ.

O ZABYTEKACH MUZEACH I PROBLEMACH ARCHITEKTURY

— MÓWI
KONSERWATOR ZABYTEKÓW M. ŁODZI
MGR ANTONI SZRAM

Po opracowaniu studium konserwatorsko-urbanistycznego, którego autorami są ceniący historycy sztuki i architektki — Irena Popiawska, Wacław Bald i Henryk Jaworowski — przystępujemy do skonfrontowania planów zagospodarowania przestrzennego miasta ze stanem istniejącym, by przy pomocy motywów operujących się na badaniach naukowych postulować ochronę autentycznych form architektonicznych, dających świadectwo rewolucyjnej przeszłości Łodzi.

— Skoro jesteśmy przy historii, co robi się, by uczcić bądź co bądź 550 rocznicę nadania Łodzi praw miejskich?

— Właśnie trwa dyskusja w sprawie powołania do życia Muzeum Historii Łodzi. Znajdzie ono siedzibę w pięknym, neoklasycystycznym ratuszu orestaurowanym do tych celów. Planuje się wydanie szeregu publikacji o zabytkach miasta i jego historii. Pracuje nad tym wielu naukowców, historyków sztuki — indywidualnie i w zespołach. Dodam, że obecnie opracowujemy dokumentację konserwatorską i katalog zabytków architektury i budownictwa Łodzi. Właśnie wykonuje się dokumentację fotograficzną oraz projekty rysunkowo-kolorystyczne renowacji budynków ul. Piotrkowskiej. Sukcesy-

wnie będą opracowywane dokumentacje naukowe dóbr kultury — pomuzealnych.

— Czy mógłby nam Pan powiedzieć trochę o sprawach muzeów łódzkich? Ostatnio zaniepokoił nas zakuszy Warszawy na przejęcie łódzkiej kolekcji sztuki awangardowej, którą kompletowano nadludzkim wysiłkiem wielu osób...

— Uważam, że winniśmy wielokrotnie wysiłki, aby zbiory sztuki nowoczesnej pozostały w Łodzi, przede wszystkim trzeba je lepiej popularyzować. Istnieje zatem pilna potrzeba budowy nowego gmachu muzeum. Biorąc pod uwagę warunki dające się eksponować skromną część unikalnych zbiorów, znajdujących się w posiadaniu Muzeum Sztuki. Kapitałny jest projekt nadania naszemu muzeum rangi Muzeum Narodowego, podobnie jak to miało miejsce z Muzeum Śląskim we Wrocławiu i Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie. Dzięki temu można by bardziej wszechstronnie prowadzić badania nad historią sztuki XX wieku. Sądzę też, że podniesienie rangi naszego Muzeum zdołowałoby odpowiednio czynniki do budowy nowego gmachu dla tej placówki, a jednocześnie położyłoby kres zakusom w kwestii przeniesienia naszych zbiorów do Warszawy. Nie należy za-

pominać, że nasza kolekcja sztuki nowoczesnej powstała jako pierwsza w Polsce i druga w świecie po Hano-wersze. Trzeba także podkreślić, że obecnie opracowuje się szczegółowy program muzeum sztuki XIX w., filii Muzeum Sztuki, która znajduje swą siedzibę w zabytkowym pałacu Herbsta przy ul. Przędzalnianej 72. W niedługim czasie zostanie oddane do użytku Muzeum Martyrologii w Radogoszczu. Należy wspomnieć i o rozbudowie Muzeum Historii Włókiennictwa, należałoby możliwie szybko przekazać mu skrzydło fabryczne „D”, aby zamknąć czworobok tego jednego w Polsce, specjalistycznego Muzeum — symbolu historii włókienniczej Łodzi, by oddać naszemu społeczeństwu w pełnym kształcie architektonicznym ten „łódzki Wawel”.

— Od jak dawna istnieje w Łodzi Urząd Konserwatora Zabytków?

— Powstał u nas dopiero w 1962 roku. Powołano go do życia na wniosek TPL, m. in. znaczne usługi położył tu red. M. Jagoszewski. W chwili ukonstytuowania się tej placówki mieliśmy w ewidencji zaledwie 12 zabytków architektury i kilkanaście ruchomych. Wcześniej nie było więc prawnych uzasadnień po temu, by mógł istnieć urząd miejski tego rodzaju. Zabytki Łodzi ochraniał więc konserwator wojewódzki. Ostatnie pięćdziesiąt lat przyniosło jednak duże zmiany w zabytkoznawstwie. Doczekaliśmy się nobilitacji sztuki secesji, architektury najnowszej z okresu lat 1850—1939. Dalo to asumpt do zewidencjonowania na terenie Łodzi aż 149 obiektów i opisanie ich w katalogu zabytków architektury PRL w roku 1964. W tej sytuacji powołanie służby konserwatorskiej na terenie miasta stało się koniecznością, tym bardziej, że trzeba było natychmiast ruszyć do obrony wielu zabytków, które skazane były na zagładę.

— Nasi czytelnicy zainteresują się niewątpliwie stosunkiem władz miejskich do problemów ochrony zabytków. Stosunkowo takich, jak np. pl. Wolności, zachowaniem wielu obiektów przy ul. Piotrkowskiej, a także wielu innych charakterystycznych dla dziesiętnastowiecznej Łodzi budowli. Może kilka słów na ten temat.

— Powołana niedawno do życia Rada Ochrony Dóbr Kultury m. Łodzi na inauguracyjnym posiedzeniu 14. XII.1970 r. wysunęła szereg postulatów w sprawie o-

chrony najwartościowszych zespołów urbanistycznych i zabytków architektury. M. in. dotyczy one ochrony zabytków przy ul. Piotrkowskiej, Moniuszki, pl. Wolności, osiedla — koszar robotniczych, architektury przemysłowej, unikalnego w skali światowej zespołu „Księży Młyn” Zakł. im. J. Marchlewskiego.

Jeśli nawet w zabudowie niektórych zespołów architektonicznych znajdują się obiekty o mniejszej wartości, to rozsądny wybór obiektów i dobre ich zachowanie ma kolosalne znaczenie dla poznania historii i wykazania dynamicznego rozwoju miasta. Jak wiadomo, przełomowe znaczenie dla Łodzi miał rozwój kapitalizmu. Łódzkie budowle zaś to dzieło rąk naszych robotników, rzemieślników i architektów. Jeśli więc chcemy zachować ślady historii i tradycji rozwoju naszego przemysłowego kolosa, będziemy musieli walczyć o zachowanie wielu „brzydkich” obiektów, o których mówiliśmy. Trudno w krótkiej rozmowie wymienić choćby ważniejsze budowle, które zachowania i konserwacji.

— Czy nie byłoby celowe nawiązanie ściślejszych kontaktów z władzami wojewódzkimi, by lepiej wyposażać Muzeum w Oporowie, mieszczące się w pięknym zamku, a posiadającym stosunkowo szczupłe zbiory?

— Współpraca już istnieje, zarówno w zakresie ba-

dań, jak i wystawienictwa. Otrzymałem też zapewnienie, że z chwilą powołania do życia Muzeum Narodowego w Łodzi, nie byłoby sprzeciwów, by oporowska placówka stała się jego filią. Współpraca ta byłaby korzystna i znalazłaby poparcie władz wojewódzkich, które są zainteresowane w podnoszeniu rangi muzealnictwa Ziemi Łódzkiej.

— Jak widać, mamy znaczne osiągnięcia i dobre perspektywy w zakresie opieki i ochrony dóbr kultury Łodzi. Można mieć wiele zastrzeżeń do upowszechniania tej problematyki. Biorąc prasa codzienna nie jest w stanie, poza skrótowną, siłą rzeczy, informacją, prezentować tego tematu, jak by należało. Nie wyręcza jej w tym względzie także wydawnictwa popularno-naukowe, ani akcja popularyzatorska w formie odczytów. Czy nie sądzi Pan, że należałoby więcej zdziałać w tej dziedzinie?

— Oczywiście. Staraliśmy się prezentować tę problematykę na łamach „Osnowy”. Lecz pismo to nie stało się periodykiem. Jego wydawanie zaś przerastało możliwości finansowe zarówno oddziału ZLP jak i Wydawnictwa Łódzkiego. Mówi się głośno o likwidacji „Osnowy”. Wydaje się to co najmniej żłiwne, że Łódź drugie co do wielkości miasto kraju, ośrodek naukowy, posiadający duże i prężne środowisko literackie, plastyczne, muzyczne i filmowe nie

potrafi zdobyć się na edycję poważnego periodyku kulturalnego, podczas gdy tak małe ośrodki jak Koszalin, Białystok czy Rzeszów — od dawna upowszechniają własny dorobek kulturalny właśnie na łamach miesięczników. Jest to fakt niezwykle przewrotny nie tylko dla środowisk twórczych, lecz dla wszystkich łódzian. Tym bardziej, że artyści łódzcy zdobyli rozgłos nie tylko w skali krajowej, lecz także międzynarodowej, można by wymienić sporo nazwisk. Trzeba podkreślić, że „Osnowa” z powodzeniem rozpoczęła proces integracji środowisk twórczych Łodzi z wielką korzyścią dla miasta. Na jej łamach, obok dzieł literackich, mieliśmy także prezentacje plastyki i publicystyki o plastyce, architekturze, teatrze, muzyce itd. Istniała szansa takiego wy-modelowania profilu pisma, by mogło ono obejmować coraz szersze kręgi odbiorców nie obniżając własnej rangi. Uważam, że artyści Łodzi winni wielokrotnie wysiłki, by otrzymać periodyk artystyczny, trybunę dla twórczych wypowiedzi. Mam nadzieję, że docenią to kompetentne władze i zechcą nam pomóc.

Rozmawiał:

JÓZEF HENRYK
WIŚNIEWSKI



Fot. W. Mickiewicz

się w tym wszystkim rozplynęły.

Już na podstawie dwóch tych powieści nietrudno zauważyć, jak różne są propozycje ideowe i artystyczne młodej literatury łódzkiej. Nowelistyka różni się jeszcze uwytkła.

Najciekawszą propozycję stanowi książka Andrzeja Makowieckiego pt. „PRZEPIS NA WYMIANĘ TWARZY”, rzecz z pogranicza literatury faktu i prozy artystycznej. Makowiecki dobrze zrozumiał szansę jaką stwarza reportaż pisarzowi sięgającemu bezpośrednio po temat współczesny. Rozumiano to zresztą już przed wojną, skoro komunistyczny „Miesięcznik Literacki” pisał w roku 1930: „Reportaż jest najbardziej racjonalizowanym rodzajem literackim. Jest w nim bezpośrednia bliskość między intencją a wykonaniem, między klasowym nastawieniem autora a doborem, naświetleniem i montażem obserwacji”. Ale to słuszne niewątpliwie stwierdzenie, nie mówi wszystkiego o szansach tego literackiego gatunku. Pod piórem wrażliwego pisarza reportaż jest nie tylko „montażem obserwacji”, ale i zjawiskiem artystycznym. Wy-starczy wspomnieć choćby „Medaliony” Nalkowskiej.

Reportaże Makowieckiego, a

także zawarte w tomie opowiadania osnute na tle autentycznych zdarzeń, są procesem rekonstruowania rzeczywistości z okrucichów rozbitego zwierciadła, które nieoczekiwanie znowu zaczyna odbijać ludzi i przedmioty. Dodajmy: tylko w czasie teraźniejszym, ale to właśnie prawdziwość gatunku. Makowiecki jest wychylony na współczesność, z nawiązką spełnia postulat, jaki stawiamy dziś reporterowi: aby był czujką literatury, przednią jej strażą. Bohaterowie jego opowieści, ci, z którymi się identyfikuje a nawet ci, których zwalczają, reprezentują pełnokrwistą galerię typów, jakich nie udało się jeszcze w pełni skonstruować współczesnej prozie. Świadczy to o trafności obserwacji pisarza i o odwadze, z jaką realizuje swoje powołanie. Toteż książka jego jest jedną z najwartościowszych propozycji młodej literatury ostatnich sezonów.

Wartościową propozycją młodej literatury łódzkiej wydaje mi się także tom opowiadań Józefa Henryka Wiśniewskiego pt. „ZDAJE SIĘ, ŻE FRANEK WYSZEDŁ”. Autor, znany dotąd jako poeta, urodził się w dziesięć lat po pokoleniu Kolombów, ale jego okupacyjna obsesja zdaje się w pełni uza-

sadniona. Co dla Bratnego było rozrachunkiem z młodością jest dla Wiśniewskiego rozrachunkiem z dzieciństwem, które nieoczekiwanie uległo skróceniu. Najdłuższą obsesją ta wyraża się w opowiadaniu tytułowym, ale jej wyraźne ślady prześledzić można także w innych utworach, choć nie osiąga ona już tego natężenia. W niektórych opowiadaniach wykorzystuje Wiśniewski swoje doświadczenia poetyckie, czego świadectwem choćby groteskowy „Murek”, jednak poprzez prozę nie szuka na ogół dopełnienia dla swego wierszopisarstwa. Nie zawsze też udaje mu się osiągnąć ten stopień precyzji narracyjnej, który zapowiada utwór tytułowy, niekiedy bowiem zapomina o zwięzłości i staje się rozgadany.

Również Eugeniusz Iwanicki nie zawsze mieści się w przyjętych przez siebie założeniach. Jego wydana przed rokiem debiutancka powieść pt. „ZMOWA OBOJĘTNYCH” była próbą odwołania się do tradycji humanizmu heroicznego, mówiła o poszukiwaniu miejsca człowieka w świecie. Znamionowała tę powieść, przy wszystkich jej brakach, wielka obsesja moralna. Odrzyski tego światopoglądu znaleźliśmy także w wydanym obecnie tomie opo-

wiadań „POWÓDZ W DOLINIE PSCHÓW”, ale na czoło wysunęła się teraz raczej drobna obserwacja psychologiczna, czy obyczajowa, która też obsesję przysłania. Stosunkowo najmniej razi to w licznych opowiadaniach fantastycznych, opowiadaniach z dreszczykiem. W innych dzieje się to ze szkoda dla ambitnie zakreślonych pomysłów.

Wyczerpujemy w ten sposób propozycje najmłodszej prozy, przyjrzyjmy się, czym mogą nam zaimponować poeci. I tu spotkamy pierwszą niespodziankę.

Mam na myśli tomiki Andrzeja Biskupskiego („MÓJ DZIEŃ ZEWNETRZNY”) oraz Mieczysława Kucnera („IMIE WŁASNE”). Oba są nie tylko drugą książką tych autorów, ale także określona manifestacją światopoglądową mającą wspólne odniesienia. Zarówno Biskupski jak i Kucner są rzecznikami filozofowania w poezji. „Filozofia nasza, zauważa Kucner, jest nie zastyszczonym konceptem”. „Wszystko co wiemy, zauważa Biskupski, wiemy z ust poety”. Podobnie, stawa te ukazują nam jednocześnie różnice. Kucner jest racjonalistą i sceptykiem. Biskupski jest także racjonalistą, ale racjonalizm ten ma zabarwie-

nie romantyczne. „Jesteśmy tymi, powiada, którzy głoszą wielkie idee — bojąc się znużyć codziennego dnia”. Na to odpowiada Kucner: „Nie ma zgody na spokój. Odkąd poezja przestała być śpiewem, jest walką”. Pojawiają się też cechy wspólne. Oba autorzy pielęgnują, czy może konstruują, mit pokoleniowy starając się przezwyciężyć w ten sposób swoją samotność. Ich poezja odwołuje się już nie tyle do wartości wspólnych wszystkim ludziom, co raczej do tych wszystkich, którzy są „zrównani chwilą, historią i losem”. „Albowiem, przestrzega Biskupski, gest pojedynczego człowieka może być źle zrozumiany...”.

Obu autorów łączy także wspólne uwielbienie dla Norwida. Stylizowanie bliższe formuły Norwidowej wydaje się Biskupski, ale i Kucner nie porzuca jej. Samym tylko uwielbieniem. To odwołanie się do tradycji racjonalistycznej, poszukiwanie metafory intelektualnej korzystnie wyróżnia oba tomiki na tle tak modnego dziś rozwłóczenia młodej poezji, młakości problemowej i rozgadania. Mielijmy nadzieję, że obaj autorzy w swoich następnych próbach dopracują się jeszcze precyzyjniejszej for-

męły poetyckiej przemawiającej tym razem we własnym imieniu, jeszcze pełniejszym głosem.

„SENTYMENTY” Mirosława Kuźniaka są jakby powtórnym debiutem tego autora, tomik cechuje wielką ilość propozycji, ale żadna nie zdobywa przewagi. W niektórych utworach Kuźniak próbuje kroczyć tą drogą, którą upodobał sobie Biskupski i Kucner. Powiada nawet: „Jest miejsce w Czasie co nam przypisane”, ale miejsca tego, jak mi się wydaje, w „Sentymentach” jeszcze nie znalazł. Być może debiutancka świeżość znamionuje zawsze spore możliwości, znajdzie to miejsce w swoim następnym tomiku.

Na zakończenie tego przeglądu kilka zdań o almanachu grupy WIADUKT, pod katem zapowiedzi literackich do tej pory całkowicie nie znanych. Almanach ten, obok utworów wypróbowanych członków grupy, zawiera bowiem kilka debiutanckich wizytówek zarówno poetyckich jak i prozatorskich. Ta najmłodsza proza nie potrafiła mnie zainteresować. W poezji wszakże zasługuje na odnotowanie debiut Bożeny Kłog, debiut nieśmiały jeszcze ale znamionujący autentyczną wrażliwość autorki.

POŁKA Książka Mi

REPORTAŻ Z SĄDÓW ZACHODNIONIEMIECKICH

Nakładem Wydawnictwa „Ślask” wydana została książka F. K. Kaula „Wytworni ludzie. Sensacyjne procesy w NRF i Berlinie Zachodnim”. Jest to zbiór reportaży z większych i ciekawszych procesów, jakie odbyły się w ostatnim dwudziestolecu. Autor jest adwokatem z NRF, który ma prawo wykonywania zawodu także w Niemczech Zachodnich. Dzięki temu jego relacje mają walor autentyczności a zarazem poruszają sprawy najistotniejsze.

Zakres tematyki reportaży jest bardzo szeroki — od sprawy wytwarzania sztucznych diamentów do procesu byłego lekarza hitlerowskiego, specjalisty od eutanazji. Otrzymujemy w ten sposób obfity materiał faktograficzny, obrazujący zależność wymiaru sprawiedliwości w NRF od pieniądza czy nacisków politycznych. Autor pisząc o przekupstwie administracji i sądownictwa, o pobłażliwości dla dawnych hitlerowców, o ekscesach antysemitów czy prześlado-

waniach ludzi o poglądach demokratycznych — na pierwszy plan wysuwa polityczny charakter opisywanych spraw.

Książka jest doskonałym dokumentem, który rozszerza naszą znajomość zagadnień zachodniomemieckich, zwłaszcza w dziedzinie stosunkowo mniej u nas opisywanej, a szczególnie przeciwieństwa — ze względu na ściganie przestępstw wojennych. Szkoda tylko, że autor nie poprzestął na suchym relacjonowaniu faktów, lecz wykazał także ambicję literacką oraz pofolgował emocjonalnemu stosunkowi do zagadnienia. Raza bowiem, wtrącając w wielo miejscach określenia czy opisy jakby żywcem wzięte z niedobrych powieści socrealistycznych.

NFP

Friedrich Karl Kaul: Wytworni ludzie. Sensacyjne procesy w NRF i Berlinie Zachodnim. Przełożył Jacek Fröhling.

COŚ DLA MIŁOSNIKÓW POEZJI

Mam na myśli dwie publikacje: „Laureaci konkursów poetyckich” (Wyd. Iskry) i „Pomosty” — wrocławski almanach młodych (Wyd. Ossolineum). Pierwsza z tych książek obejmuje pion konkursów poetyckich z lat 1966 i 1967 siedemdziesięciu siedmiu autorów, przeważnie młodych. Wśród laureatów znajdują się również poeci łódzcy: Michał Szargan,

Jacek Błezniński, Teresa Gabryśiewicz, Andrzej Biskupski, Roman Gorzelski, Lucyna Skompka, Feliks Rajczak i Marek Wawrzekiewicz. Widać więc, że poetycka młodzież naszego miasta i ziemi łódzkiej uczestniczy aktywnie w konkursowym — jeśli tak można powiedzieć — życiu literackim kraju.

Tom „Pomosty” zawiera utwory autorów wrocławskich, w tym także przekłady zmarłego przedwcześnie i bardzo talentowanego poety austriackiego Paula Celana.

Lektura obu tych książek budzi jednak refleksje nie nazbyt krzepiące. Obok wierszy pięknych i komunikatywnych (m. in. „Noc przed bitwą” Wawrzekiewicza) wiele jest utworów „beztwarzowych” bardzo do siebie podobnych, w których zaciera się indywidualne oblicze poetów. Ale dobrze, że zbioru takie opublikowano. Orientują one, jaki jest stan najmłodszej poezji polskiej, czym interesują się poeci, jakim holdują tendencjom itp. Książka, wydana nakładem „Iskry”, zawiera posłowie Krzysztofa Gąsiorowskiego oraz notki biograficzne uwzględnionych autorów. W sumie jest to więc swoliste kompendium młodej i najmłodszej poezji polskiej z lat ostatnich.

JK

ZAPROSZENIE DO LEKTURY

Gerard de Nerval*, którego książki otrzymaliśmy właśnie w przekładzie pol-

skim, był niezwykle ciekawą osobowością pisarską. Urodzony w 1808 w Paryżu, zmarł tamże w 1855 roku, żył więc zaledwie 47 lat. Był synem lekarza wojskowego, po r. 1841 pojawił się u niego objawy obłądzenia, kilkakrotnie przebywał w zakładzie psychiatrycznym. Popłynął samobójstwem przez powieszenie się. Jego powieść, tłumaczona po raz pierwszy na język polski przez Adama Ważyka i opatrzona obszernym posłowiem tłumacza, zasługuje na uwagę czytelnika. Jest to historia Mikołaja Restifa, w której z pewnością znajdują się wątki autobiograficzne samego Nerval.

Na str. 141 czytamy m. innymi: „Znaczenie pamiętników, wyznań, autobiografii, nawet podróży polega na tym, że człowiek staje się zwierciadłem, w którym każdy może się przyjrzeć sobie, dostrzegając przynajmniej częściowo swoje zalety i wady”. Mam nadzieję, że cytując ten zachęcający czytelnika do zainteresowania się książką, która napisana jest zaimprowizacją, pięknym językiem i którą bardzo udanie przełożył na polski Adam Ważyk, Nerval zniósł do tej pory jako poeta, teraz mamy sposobność poznać go również jako utalentowanego prozaika.

JK

* Gerard de Nerval: „Zwierzenia Mikołaja Restifa”. Czytelnik 1970. Warszawa, str. 215, cena: zł 20.

TELEOBIEKTYW

FILM TELEWIZYJNY ZANUSSIEGO

„GÓRY O ZMIERZCHU”. Tak nazywa się film telewizyjny Krzysztofa Zanussiego, który oglądaliśmy ostatnio (5.11) na ekranach. Przy tej okazji zadaliśmy sobie pytanie, czy określenie „telewizyjny” zależy tylko od tego, że film zrealizowano na zlecenie telewizji?

By sobie spróbować odpowiedzieć, zastanowiłem się, jak odbierałoby się film Zanussiego w kinie. Dochodzi do wniosku, że widz kinowy byłby chyba rozczarowany. Akcja stosunkowo nuda, zbudowana w większości na dialogu, na słowie wypowiadanych przez aktorów. Bardziej widowiskowe były tylko partie wspinaczkowe i plenery górskie wraz z efektownymi zdjęciami staczających się po zboczach lawin śnieżnych.

Jak na widowisko kinowe trochę za mało. Czy znaczy to, że w kinie nie mają racji bytu filmy oparte na dialogu? Nie, to byłby pogląd przestarzały. Ale intensyfikacja nastroju, wyostrenie konfliktu musi być wtedy takie, by wyrównywało zamierzone niedostatki widowiskowości. Takiego zgęszczenia w filmie Zanussiego nie było.

Fabule „Gór o zmierzchu” określić można jako rozbudowaną anegdotę. Młody lekarz (Marek Perepeczko) ma szansę życiową zbliżenia się podczas wspinaczki wysokogórskiej do znanego profesora (Jan Kreczmar) i poproszenia go w sprzyjających okolicznościach o etat w instytucji. Domaga się tego od niego oczekująca w schronisku żona. Swoją prośbę ma bohater dosłownie na końcu języka, ale wciąż opóźnia jej wypowiedzenie. Wkrótce zaczynamy rozumieć grę. Wiemy już, że prośba nie będzie wypowiadana.

Zakończenie filmu nas zatem nie zaskoczyło. Pozostaje odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak się stało? Przecież bohater po to specjalnie przybył do schroniska i wziął udział w wspinaczce. Okazji do poruszenia swej sprawy z profesorem miał dużo. Więc? Zawiniła zwykła nieśmiałość? Gdyby tak było istotnie, rzecz niewarta byłaby filmu. Nawet telewizyjnego...

Bohater okazuje się człowiekiem wrażliwym. Z urywkowych opowiadań profesora dowiaduje się, dlaczego starzejący się uczoney odbywa raz do roku wspinaczkę na tej właśnie trasie. Przed laty przebył ten szlak ze swym przyjacielem — świetnie zapowiadającym się młodym malarzem. Później malarz zginął, a profesor wracając co roku na ten sam szlak czcił w swolity sposób jego pamięć.

Bohater czuje więc, że uczestniczy jakby w nabożeństwie żałobnym. Tak, w nabożeństwie. To właściwe słowo. Analogię tę potwierdza scena, gdy profesor podczas wypoczynku na grani recytuje po grecku fragment „Odysei”. Czy w tym podniosłym nastroju, w jakim znajduje się profesor, można było zwrócić się doń z przyziemną prośbą o posadę? Bohater filmu odpowiada sobie: nie. Rezygnuje dobrowolnie z szansy, która się może nie powtórzy.

W tej nikłej tkance zawiera się idea filmu Zanussiego. Nie mamy do czynienia ze sprawami wielkiego formatu, czy z ekspresyjnością o dużym stężeniu. Rzecz świadomie miniaturowa, jak miniatury są sprawy składające się na ludzką codzienność. I właśnie w tym świadomym zminiaturyzowaniu konfliktu dopatruję się telewizyjności filmu Zanussiego. W kinie powszedniość i karłowatość problemu zniechęcałyby widza. Na ekranach telewizorów oglądaliśmy film z zainteresowaniem.

Może dlatego, że sama telewizja i sposób jej odbierania tkwi tak głęboko w codzienności, w małym wymiarze ekranu i w małym wymiarze jego pojemności uczuciowej. Wzruszenia, jakie zdarza nam się przeżyć przy telewizorze, są skromne, na miarę otaczającej nas banalnej rzeczywistości, przerywane różnymi domowymi czynnościami.

Może więc właśnie formuła zastosowana w „Górach o zmierzchu” przez Zanussiego jest tak właściwą dla filmu telewizyjnego? Trudno mi to stwierdzić z całą stanowczością. W każdym bądź razie Zanussi zbliża się z pewnością bardzo do tej formuły, prezentując nam film nieprzełączony szczegółami, o wolnym rytmie, skupiony i uwikłany w małe, a przecież ważne sprawy człowieka.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

ROZWIĄZANIE KONKURSU „MOWIĄ GMACHY”

W wyniku losowania odpowiedzi nadesłanych na konkurs pn. „Mówią gmachy” („Odgłosy” nr 51/52) nagrody w postaci bonów towarowych po 1000 złotych otrzymują: Jadwiga Jagieło, Łódź, Lubelska 25/11, Stefan Sobczak, Łódź, Odolnowska 10, Grażyna Banasiak, Łódź, Koczańskiego 47, Mirosława Ptaszńska, Łódź, Mostowskiego 19a, Zbigniew Włodarczyk, Wydrzynów, p-ta Trębaczew, pow. Pajęczno.

Nagrody do odebrania w redakcji „Odgłosów”, Łódź, ul. Piotrkowska 93.

KRZYŻÓWKI Z NR. ŚWIĄTECZNEGO

W wyniku losowania rozwiązań krzyżówek, ogłoszonej w świątecznym numerze „Odgłosów”, nagrody książkowe otrzymują następujący Czytelnicy: Paweł Suwałski, zam. w Łodzi, Lipowa 8 m. 5, Hanna Porada, zam. w Łodzi, Dąbrowskiego 16/18, m. 1 i Eugeniusz Wojciech, zam. w Łodzi, Kasowa 4 m. 6.

KONKURS NA ESEJ I RECENZJĘ KRYTYCZNĄ

Rada Uczelniana ZSP Uniwersytetu Łódzkiego przy współpracy „Odgłosów”, ZLP, Wyd. Kultury Prez. DRN Łódź-Sródmieście i LDK ogłasza konkurs na esej i recenzję krytyczną. Mogą w nim wziąć udział członkowie Kół Naukowych Filologów, Kół Młodych Pisarzy, młodzi krytycy, nie posiadający własnej publikacji książkowej. Objętość, prac dotąd nie publikowanych, nie powinna przekraczać: w dziedzinie eseju — 20 stron maszynopisu, w dziedzinie recenzji — 5 stron maszynopisu.

Recenzja winna dotyczyć wybranego debiutu książkowego (proza, poezja); tematyka eseju — ogólnoliteracka. Oznaczone godnymi prace należy nadsyłać w czterech egzemplarzach do dnia 10 kwietnia 1971 roku na adres: Rada Uczelniana ZSP UL, Łódź, ul. Jaraacza 7 (tel. 201-34) z dopiskiem na kopercie — „KONKURS”. Nagroda w dziedzinie eseju jest 5.000 zł, w dziedzinie recenzji — 2.000 zł. Ogłoszenie wyników nastąpi 25 kwietnia 1971 roku.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



W katalogu tematów, do którego zaglądają polscy realizatorzy, jedna pozycja cieszy się nieustającym powodzeniem. Zawarta jest ona w hasle: opowieść pionierska z pierwszych powojennych lat. Niedawno odbyła się premiera „Promu” J. Afanasiewa, obecnie w czasie te przenosi nas „PRZYSTAŃ” Pawła Komorowskiego. Gdzieś nad Zalew Wiślaną do maleńkiej wioski rybackiej zjeżdżają ludzie, by znaleźć miejsce dla siebie. Są wśród nich tacy, dla których morze i zawód rybaka to stary fach. Są i tacy, którzy przybywają na falę wielkiej migracji, zawodu tego imać się będą wścieknie z przypadku. Jedno łączy ich na pewno — nie są poszukiwaczami przygód, szukają domu, pracy, nowej szansy dla siebie i swych rodzin.

Sądzić wypada, iż intencją realizatorów było obdarzenie filmu tonacją legendy o dawnych czasach i owej malejącej, kształtującej się społeczności. Borykając się z tym zamierzeniem zapomnieli, iż słuchaczami-widzami legend mogą być ludzie dorośli (przypomnijmy „Sól ziemi czarnej”), którzy w opowieści tej znaleźć pragną nieco prawdy o życiu i ludziach. W legendzie jest przecież miejsce na wielkie namiętności, którym obdarza się ludzi o mocno zarysowanych charakterach, o sil-

nej woli działania. Akcentując ten moment dlatego, iż oglądając „Przystań” widzimy, jak bardzo twórcy filmu chcieli obdarzyć swych bohaterów tymi cechami i jak bardzo im się to nie udało. Owe burze namiętności, tłumionych uczuć, marzenia, gorycze rozczarowań — uzyskują w „Przystani” wymiary karykaturalne. Powołano do życia postaci i sytuacje konfliktowe śmieszają naiwnością rysunku i stereotypem rozwiązań. Wszystkie wątki rodzajowe wypuklano z jakiegokolwiek autentyzmu, nasycono zaś w zamlan roz-tworem lukru.

Niestrawną słodkość filmu pogłębiają malownicze, kolorowe obrazy, ładne co prawda, impresje na temat nadmorskiego pejzażu, lecz dla tego filmu co najmniej nie znaczące, jeśli nie szkodliwe. Aktorzy obnoszą swe role nie bardzo wiedząc co czynią. Jedynie Roman Kłosowski wie może co robi „odwalając” skoczowe kawałki tam, gdzie miał grać pijacznym wprawdzie, ale było nie było człowieka, który chciał być dobry i chciał mieć swe miejsce na tej ziemi.

Szaleń naszemu zdumienia, gdy patrzymy na ten film, przechyla ostatecznie moment przypomnienia, iż przecież lata mijają, dzieci rosną, a nasi bohaterowie są tacy sami jak byli, ząb

czasu ich się nie ima. Generalnie zaś, zdumienie to związane jest ze świadomością, iż film ten podpisali nie tylko ludzie dorośli, ale i profesjonalści filmowego zawodu i że tak zły film mógł powstać w oparciu o dobre opowiadania Marka Nowakowskiego.

* * *

Wielkie gwiazdy srebrnego ekranu były, są i będą magnesem przyciągającym do kin publiczność. Tej, przed dziesięciokami lat odkrytej, prawdziwej, holduje kino po dzień dzisiejszy. Pamiętający o tej zasadzie ludzie filmu w końcu lat 50-tych powoływać zaczęli do nowej aktywności dawne wielkie gwiazdy, które, zdawało się, zakończyły już swe panowanie na ekranach światła. Powrócił Głorij Swanson, którą w „Bulwarze Zachodzącego Słońca” B. Wildera grała niejako samą siebie, zapoczątkował serię filmów, w których główne role zaczęły grać gwiazdy lat 30-tych i 40-tych — wśród nich znalazła się również Bette Davis.

Angielski film „PAMIĘTAJ O ROCZNICY ŚLUBU” R. Bakera zrealizowano zapewne z myślą o niej. Powierza jej rolę matki tyranizującej swe dzieci i całe otoczenie, sądzono zapewne, że Bette Davis znajdzie w niej szansę dla wygrania tych wszystkich cech swego aktorstwa, którym zachwy-

cała się publiczność, kreując niemało zawsze role kobiet żądnych życia, dających porywać się namiętnościom i ambicjom, fascynujących swą osobowością.

Bette Davis nie zawodzi swych wielbicieli, także i w tym filmie, choć wszystko w nim kieruje się przeciw niej, bowiem „Pamiętaj o rocznicy ślubu” to bardzo paskudny film. W tej „czarnej” komedii nie poza panią Davis podobać się nie może. Bzdurna fabuła grzeszy tak złym smakiem, tak płaskim dowcipem, że chwilami robi się niedobrze. I właściwie, aktorkę podziwiamy nie za jej rolę w tym właśnie filmie, w nim bowiem wielkiej roli zagrać nie było można. Patrząc na Bette Davis, która mocuje się z powierzoną jej postacią, przywołujemy z pamięci jej dawne, wielkie kreacje, a pozwala na to każdy gest, uśmiech, spojrzenie i głos wielkiej aktorki. Wspaniała Bette Davis w roli której grać nie powinna, bo nawet wielcy aktorzy muszą mieć co grać, muszą się też cenić, zwłaszcza wówczas, gdy wracają do nas po długiej nieobecności, gdy nieobecność ta tak namacalnie uświadamia bieg czasu. Jeśli Bette Davis nie zawodzi, to tylko dlatego, że jeszcze raz, choć tylko w namiastce, przypomina nam swą wielką, wspaniałą aktorską osobowość.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

CZY NOWY RODZAJ SZTUKI?

„Podwójnym negatywem” nazwał swoją gigantyczną rzeźbę, jeśli w ogóle można tu mówić o rzeźbie, amerykański artysta Michel Heizer. Jego dzieło — to dwie obryzmy wyrwy na pustyni w stanie Nevada. Znalazł się już i nabywca owego dzieła. Kupił je za ciężkie pieniądze pewien bogaty Szwajcar, kolekcjoner sztuki. Ogromna, bo o długości pół kilometra, spirale z piasku i kamieni, ułożona jak śli-

tor „Podwójnego negatywu” musiał ruszyć czterdziestu ton kamieni i piasku by wykonać owe wyrwy i twierdzi, że jego celem było stworzenie innego spojrzenia na pustynię. Inni artyści uprawiający land art postępują jeszcze inaczej. I tak np. Christo Javacheff z Nowego Jorku zawędrował aż do Australii. Na skalistym zboczku Little Bay, pokrył wraz ze swymi dwoma asystentami, folią ze sztucznego tworzywa, podtrzymywaną przez dwie liny koloru pomarańczowego, dziewięć-

równocześnie z Festiwalem Filmowym odbywającym się w Cannes.

Przewidziane są trzy wielkie nagrody Festiwalu: Wielka Nagroda Literacka za powieść, Wielkiego Złotego Orła za książkę dokumentalną i Złotego Orła za najlepszą książkę.

ZMARŁ GEORGES VAN PARYS

W wieku lat 69 zmarł znany kompozytor francuski Georges Van Parys. Był autorem wielu popularnych piosenek i twórcą muzyki do około dwustu filmów m.in. tak znanych jak „Million”, „Wielkie manewry”, „Kapitan Fracasse”, „Fani Tulpan”. Komponował też dla sceny.

Miał wielu przyjaciół wśród ludzi sztuki i filmu. M. in. Rene Clair powiedział: „Był mi przyjacielem od czterdziestu lat. Dużo pracowaliśmy razem. Pracować z nim to była zawsze wielka radość. Miał dużą wrażliwość i był samą dobrocią”.

onor Fini, Jean Rostand, Zadkine, Jean Giono i inni. Książkę tę wydał Joseph Foret. Pokazywana była w kilku krajach. Ogółem obejrzało ją 7 milionów ludzi. Ta niezwykła książka-pomnik rzemiosła artystycznego i sztuki, ma być teraz sprzedana. Podobno już się zgłaszają ew. nabywcy. Francuzi troszczą się by dzieło nie wywędrowało poza ich kraj.

GORKI O SZALAPINIE

Niedawno w Tübingen w NRF wydana została książka napisana przez Gorkiego o Szalapinie. Tytuł: Maxim Gorki: „Mein Freund Fjodor”. (Mój przyjaciel Fiodor). W związku z tym „Neu Zürcher Zeitung” przynosi krótką historię powstania tego dzieła.

Otóż wybitny pisarz radziecki Maksym Gorki (1868-1936) przyjaźnił się od lat młodzieńczych ze słynnym śpiewakiem, basem światowej sławy Fiodorem Szalapinem (1873-1938).

W lecie 1916 roku obydwa przyjaciele wyjechali na wypoczynek na Krym. Tam to śpiewak podyktował w formie swobodnej gawędy maszynistce swe wspomnienia z okresu młodości, z czasów w których zdobywał swą artystyczną karierę. Gorki, na podstawie tych zapisków oraz innych znanych mu epizodów z życia Szalapina, stworzył dłuższą relację o młodzieńczych latach swego przyjaciela śpiewaka. Wspomnienia te zostały opublikowane w roku 1917 w dwunastu kolejnych odcinkach w czasopiśmie „Lietopis”. W latach 1926/27 tekst ten został opublikowany w Leningradzie pod tytułem: „Szalapin. Kartki z mojego życia”. Niemieckie tłumaczenie pierwszej części tych wspomnień (do roku 1901) ukazało się drukiem w Berlinie najpierw w roku 1928 jako „Mein Werden” (dosł. Moje powstawanie, rozwój), a następnie w roku 1958 pt. „Lied meiner Jugend” (Pieśń mojej młodości). Następnie w roku 1949 ukazało się w Zurychu pt. „Meine Jugend” (Moja młodość) zaopatrzone w postawie E. Schapera.

Ostatnie wydanie w języku niemieckim w Tübingen jest tłumaczeniem

na niemiecki z tekstu rosyjskiego. Tłumaczenia, przypisów i postawia dokonał Erich Müller-Kamp.

ROMEO I JULIA — PO AMERYKANSKU

Ostatnim bestsellerem jest obecnie w Ameryce „Love Story”, romantyczna opowieść o miłości. Ta 200-stronicowa książka zrobiła ogromną karierę. Według obliczeń Gallupa przeczytało ją już 50 milionów Amerykanów.

Powieść została już przetłumaczona na osiemnaście języków. We Francji tłumaczenie „Love Story” figuruje na trzecim miejscu wśród książek najbardziej

żądał się swemu koledze ze swych cierpień po stracie dziewczyny, która umarła na nieuleczalną chorobę. „Była tak cudowna — mówił młody człowiek — tak niezwykle inteligentna, tak wspaniale opowiadała o Mozarcie. Życie jest niesprawiedliwe. Nie, ona nie powinna była mnie opuścić”. Wtedy to Erich Segal postanowił napisać powieść o wielkiej miłości. Bohater powieści, student Oliver Barret, uprawiający namiętnie sport, poznaje biedną studentkę, pianistkę, Jenny Cavillieri. Młodzi zakochują się w sobie. Niestety, tak jak w tragedii szekspirowskiej, trucizna prze-



Erich Segal wśród studentów

czytanych. Została sfilmowana i film ten cieszy się niezwykłym powodzeniem. Niestychana popularność „Love Story” budzi pewne zdziwienie. Autor bowiem nie sili się na sensację, nie ubiegał się o poczytność przez opisy gwałtownych scen, czy niezwykłych przygód. Nie jest też jako pisarz żadnym nowatorem. Mówi po prostu o zwykłej, choć głębokiej, romantycznej miłości dwojga młodych. Miłości zakończonej tragicznie śmiercią dziewczyny.

Kim jest autor tej niebywale poczytnej książki?

Jest to Erich Segal 34-letni profesor łaciny i greki na uniwersytecie w Yale. Jest nieżonaty, żyje skromnie i poza zainteresowaniami zawodowymi ciekawi go sport. W roku 1968 profesor posyłał pewnego razu jak jeden ze studentów, członek uniwersyteckiej drużyny piłki nożnej, plakał i zwi-

rywa życie kochanków, tak w powieści Segala choroba raka zabija dziewczynę.

Powieść Segala w niespełna rok została sprzedana w ilości 14 milionów egzemplarzy.

Skromny profesor języków starożytnych wzbogacił się raptownie. Nie zmienił jednak trybu życia. Nadal wykłada grekę i łacinę. Jedynym luksusem na jaki sobie pozwolił, jest kupno telewizora z bardzo dużym ekranem, na którym ogląda z zapałem, jak dawniej, zawody sportowe.



Spirala Roberta Smithsona na jeziorze

macznicę wśród czerwonych wód Wielkiego Jeziora Słonego w stanie Utah, wykonał amerykański rzeźbiarz Robert Smithson, przeznaczając swe dzieło do sprzedaży za sumę trzydziestu tysięcy dolarów.

Czy mamy tu do czynienia z żartem czy może oryginalnym protestem przeciw sztuce tradycyjnej? A może rzeczywistość jest to nowy rodzaj ekspresji artystycznej? Ten nowy rodzaj sztuki zyskał w Ameryce swą nazwę — land art. Artyści uprawiający ją, zamiast pędzla i dłuta posługują się dynamitem i buldożerami. Dla wykonania swych dzieł poszukują otwartej przestrzeni, najchętniej pustyni, która daje im możliwość swobodnego operowania wśród rozległego terenu. Michel Heizer, au-

dziesiąt tysięcy metrów kwadratowych nabrzeżnych skał. Ma jeszcze inne tego rodzaju dalsze projekty. Javacheff zamierza rozwiesić plastikowe „franki” o powierzchni 20 ha nad rzeką Colorado.

Amatorzy kupna tych dziwnych dzieł muszą wynajmować helikopter, aby móc je obejrzyć w całości. Ceny za owe obiekty land artu są niesłychanie wysokie. Bo też i wykonanie ich jest bardzo kosztowne. Zamożny kolekcjoner tego rodzaju dzieł sztuki nie zabierze ich do domu. Zostaną wśród natury póki nie zniszczy ich huragan czy górska lawina.

III MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL KSIĄŻKI

— odbędzie się w dniach 26 do 31 maja br. w Nicei,

NIEZWYKŁA KSIĄŻKA

Niedawno francuska TV pokazała swym widzom niezwykle jak na dzisiejsze czasy wydaną książkę „Apokalipse”. Ta książka to właściwie pomnik. Waży 210 kg i jest ręcznie kaligrafowana na specjalnie przygotowanym pergaminie oraz bardzo kunsztownie ozdobiona. Spośród 300 tysięcy skórek baranich wyselekcjonowano skórkę na 150 kart pergaminowych. Jedenaście warsztatów rzemieślniczych pracowało nad wykonaniem tych kart. Książka, o wyglądzie średnio-wiecznych inkunabu-

łów, wymagała siedmiuset godzin pracy mistrzów którzy ją zdobili, dwieście godzin ją kaligrafowano, cztery tysiące godzin pochłonięły prace złotników. Przy powstaniu tego dzieła współpracowali malarze i pisarze jak Dali, Buffet, Jean Cocteau, Le-

syjne. Jedni twierdzą, że artystą był „kompletnie zalani” — inni, że byli „podpieli”. Różnica zdań niewielka — skandal za to spory. Jednym słowem głupia sprawa.

Nie o ilość wypitego alkoholu jednak chodzi. Rzecz w tym, że stan nieważkości „Słonej grupy” był widoczny, że piosenki śpiewano przy akompaniementie oszkwili, że wyraźnie kłono z publicznością, że ze sceny padali nieczczeni „odzywkami”.

Cytuję z „Gazety Radomszczańskiej”: „Cicho wszędzie, głucho wszędzie, czy tak k... wszędzie będzie?”, albo filozoficzne stwierdzenie jednego z artystów: „Chłopaki, ale mi krakwieć śpiem... ubranie!”. Takie pogwarki przy otwartej kurtynie, przy obywateli (bilet 40 zł) to ordynarny skandal i wcale się nie dziwię radomszczańskiemu publicznemu, że na koncert „Słonej grupy” reagowała gwiazda. O ile bardziej wytwornie zachował się pewien słynny piosenkarz, który w tymże Radomsku ściągnął na estradzie spodnie i wyplął się na publiczność. Niemien zachował się wytworniej, bo ów elegancki gest miał miejsce już przy zamkniętej kurtynie. Co chciał w ten spo-

sób wyrazić? Pogardę dla motłochu, który wykupił bilety i wysłuchał koncertu, dał zarobić artystce, a więc zrobił swoje i teraz artysta ma go gdzieś? Niezbadane i tajemnicze są intencje idoli...

„Słona grupa” zademonstrowała swą pogardę dla motłochu przy podniesieniu kurtyny, przy włączonych mikrofonach i choć artyści nie ścigali spodni — intencje były jednoznaczne.

Parę dni później słuchaczem radia. Przeprowadzono wywiad z jednym z członków „Słonej grupy”. Padło pytanie o publiczność prowincjonalną, jak odbiera program, jak reaguje... „Proszę pana — powiedział artysta — nonsensem jest dzielić publiczność na prowincjonalną i stołeczną. Publiczność jest jedna i trzeba ją traktować jednakowo poważnie zarówno w Warszawie jak i w małym miasteczku...”

Tak więc, choć nie byłem na owym radomszczańskim koncercie, artysta i ze mnie zrobił balona i ze mnie sobie zakpił, tak jak zakpił z rozmówcy, z radiosłuchacza, z publicznością w Radomsku... Bo przecież niechcący kpił.

Jak się dowiedziałem, incydent w Radomsku nie był wyjątkiem. Podobno i

w innych miastach województwa „Słona grupa” występowała w stanie wyraźnie osłabionym. Podróże kształcą, ale i męczą, więc może czas przerwać podróże? Zwłaszcza, że — o czym pewno artyści nie wiedzą — napływają meldunki, głoszące „recenzje” artystycznych dokonań „Słonej grupy” na terenie województwa. Bardzo krytyczne to recenzje.

Ale jest w całej tej sprawie akcent bardzo optymistyczny. Otóż publiczność gwizdała, protestowała, publiczność nie daje robić z siebie balona. Jakże wielką rację miał artysta, udzielający wywiadu dziennikarzowi Polskiego Radia! „Publiczność trzeba traktować poważnie zarówno w stołeczkich jak i w małym miasteczku...” Święte słowa. Niedawno łódzcy studenci przepędzili spod „Sio demek” inną, choć mniej silną grupę wokalo-muzyczną... Słusznie. Niech ludzie gwizdają na koncertach, gdzie zamiast rozrywki oglądają musim, fumi, narowy i zwykłe chamstwo wykonawców. „Może — pisze „Gazeta Radomszczańska” — przy pomocy gwizdów będziemy uczyć chałturzystów szacunku dla publiczności!”

JERZY WIDOK

W NIEDZIELI W NIEDZIELI

OSŁABIONA „SILNA GRUPA”

DEPESZA PAP ◊ CO SIĘ STAŁO W RADOMSKU? ◊
POD RAUSZEM ◊ WYTWORNY GEST IDOLA ◊
POGARDA DLA MOTŁOCHU ◊ CZY ARTYSTA KPIŁ? ◊
PUBLICZNOŚĆ GWIZDZIE

Parę dni temu przeczytałem depeszę Polskiej Agencji Prasowej zatytułowaną „Na warsztacie komisji sejmowych”. Informacja zainteresowała mnie z dwu względów. Po pierwsze wynika z niej, że posłowie z Sejmowej Komisji Kultury i Sztuki „wysunęli szereg wątpliwości co do słuszności decyzji połączenia „Ruch” z „Domem Książki”. Cieszy mnie to tym bardziej, że w styczniu, jako jeden z pierwszych, poddałem w wątpliwość sens tej karkołomnej decyzji.

Druga jednak część informacji jest daleko bardziej intrygująca. Oto, co pisze PAP: „Z krytyką posłów spotkały się również tw. chaty, często renomowanych zespołów, które traktują swoje występy w terenie jako źródło dodatko-

wych zarobków, nie zwracając najmniejszej uwagi na poziom artystyczny programu. Jaskrawym tego przykładem może być kompromitujące zachowanie się „Słonej grupy pod wezwaniem” na występach w Radomsku, na co zwróciła uwagę posłanka Eugenia Błajszczak”.

Co stało się w Radomsku? Jaki skandal wywołała tam „Słona grupa”, że trzeba było aż interwencji poselskiej?

Dziennikarze „Gazety Radomszczańskiej” twierdzą, że „Słona grupa pod wezwaniem” objawiła się na miejscowej estradzie jako „Słona grupa pod... rauszem”. Opinie rozgorzconych widzów prezentowane na łamach gazety nie są w tej kwestii zbyt kontrowersyjne.

Bcz strachu

DIABEŁ

Choćby przemieniamy się, przekształcamy, każdy z nas przez lata i w każdej chwili przywyknął być sobą — oto Jan jest Janem spoiłym, a Piotr takimż Piotrem. Ale kiedy jedzą się razem i usiądą przy stole, Jan, Piotr i ktoś jeszcze wydaje się chwilami, że jest wśród nich ktoś jeszcze, czwarty, dziewiąty, czy dziesiąty... Kto go wie — Anioł to czy Diabeł, w każdym razie nie ma go bez zgromadzenia Janów i Piotrów — tuż się ich uczu ciem, ich myślą, zbudowa — jest z ich wypowiedziach nych pragnień. Nazwijmy go umownie diabłem — wiemy przecież, że niezależnie od Janów czy Piotrów, nie ma go, wiemy, że go nie ma — dlaczego więc się bać. „Tak” — po wie ktoś mądry — „ale dlaczego pan uważa, że boimy się także tego, czego nie ma”. „Tak” — od powiedział komuś mądrym, boimy się tego czego nie ma, lecz co może zaistnieć, nastąpić — oto lękamy się pożaru, w tej chwili pożaru nie ma, ale pożar jest możliwy, mimo wszystkich środków bezpieczeństwa. Otóż diabeł jest niemożliwy, diabeł nigdy nie będzie, diabeł nie nastąpi nawet wskutek największej nieostrożności. Nigdy nie nastąpi dostateczna racja istnienia diabła. Tak mówili do kogoś mądrym. Ktoś mądry zamyślił się, bo nie był aż tak bardzo mądry, aby zrezygnować z ostatniego słowa w rozmowie. „Powiedział pan” — mówił ktoś mądry — „że diabeł nie ma. A zatem jest próżnia, niebytem, nicieścią — zaprzeczeniem istnienia. Włdzi pan, oto sobie jesteście, pan, ja, Piotr, Jan i inni i przyjdzie dzień, kiedy nas nie będzie i to właśnie diabeł — nasz niebyt, nasze kompletne nieistnienie”. „Proszę pana” — powiedziałem do kogoś mądrym — „nigdy nie nastąpi nasz kompletny niebyt, p... mnie zostanie ot ten feketon i honorarium, które go nie zdąży wydać, po pa nu mądre słowa i myśli, po Piotrze i Janie — pamięć ich roztrząsa, godnych naśladowania uczynków. Pełnego niebytu nie ma i nie będzie — zaprzeczając mu nauka, kultura i historia, siły przeciwne diabłu, przekreślające jego istnienie”. Ktoś mądry zaśmiał się diabelsko: „Błąd w założeniu, kochany panie, wierzy pan w zupełną tożsamość, stałość, integralność pana, mnie, Jana, Piotra, a oto pewnego dnia pod wpływem potężnego, zbiorowego wzruszenia, pan, ja, Piotr, Jan i wielu innych stopimy się w gorący strumień i wielcy swoją właśnie zdobytą, szczytną depersonalizacją, popłyniemy gorącym nurtem przez kraj, przez historię, przez kulturę i co pan na to?”. „Ja na to tyle, że wtedy nasz gorący nurt i cel, do którego popłyniemy, to będziemy my ustokrotnieni, bardziej rzeczywisti, niż kiedykolwiek”. „I, do diabła” — powiedział ktoś mądry — „ciężko z panem gadać”. „Zatem, po diabła, prowa dzimy takie rozmowy. Niech diabeł weźmie takie tematy i taką metodę dyskusji”.

BERNARD SZTAJNERT

SZANTAŻYSTA

— Potrzebny mi jest także kuter w rodzaju tych, które stoją u pana w piwnicy. Mam porcelanę, różne wartościowe przedmioty i powinienam je przechowywać w bezpiecznym miejscu.

— Jeden mogę pani odstąpić za 10 dolarów — zgodził się właściciel domu, pan Peet.

— Dobrze, zabiorę go. — Cenna była jej obojętna, miała tysiąc dolarów w torebce i milion w banku, w Chicago.

Peet stał przy oknie i patrzył na ogród. — Mieszkam tu trzy dziesięć lat. I nagle ten szok w zeszłym tygodniu. Lekarz powiedział mi, że muszę wyjechać do jakiejś miejscowości, gdzie nie ma mgły. Pojadę do córki, ale smutno mi stąd odejść, każdy ma swoje przyzwyczajenia. Życzę pani przyjemnego pobytu w moim domu. Będę tu czasem zaglądał...

Po odejściu smochodu Pamela Kendall usiadła w fotelu i pograżyła się w rozmyślanach. A więc wynajęła dom, jakiego szukała — odizolowany, na szczycie pagórka. Dom z piwnicą. Chyba Paul nie odnajdzie jej tutaj, nie życzy mu tego!

* * *

Przed trzema miesiącami porucznik policji nazwiskiem Broyles stanął wobec trudnego do rozwiązania problemu. Nie lubił, gdy zamożni kolekcjonerzy broni, czyszcząc swe fuzje, ulegali wypadkom i pozostawiali po śmierci olbrzymi majątek młodym i pięknym wdowom.

Kula, która zabiła Roberta Kendalla, trafiła go w miejsce pod brodą. Wdowa zeznała, że śpiąc w swej sypialni położonej w głębi korytarza, została obudzona pięć minut po północy hukiem wystrzału. W gabinecie paliło się światło, przybiegła tam i znalazła nieżywego małżonka. Na podłodze leżała fuzja zdjeta ze ściany.

Broyles podejrzewał żonę Kendalla, Pamela, lecz nie miał żadnych dowodów. I dlatego zainteresował się rozmową, którą pewnego dnia prowadziła Pamela z Pauliem Bartonem, siostrzeńcem jej zmarłego męża.

— Co zrobisz teraz z taką masą pieniędzy — zapytał Barton popijając wódkę.

— Mówiąc szczerze twoje py-

tanie nie wydaje mi się stosowne — odpowiedziała chłodno Pamela.

— Może masz rację. Ale pozwól, że ci zadam jeszcze jedno pytanie: czy było stosowne, że zamordowałaś wujka Roberta?

Chwila ciszy, potem kobieta szepnęła: — Jesteś pijany, Paul!

— Owszem. Ale nie byłem pijany, gdy cię zobaczyłem owej nocy kwadrans przed dwunastą. Widziałem wszystko bardzo dokładnie.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu, przysunął szklankę z piwem i popijał chrupiąc kostki lodu. Zwyczaj, którego nabył za czasów studiów uniwersyteckich.

— Czy pamiętasz, droga cioteczko? Przyszedłem tu owego wieczora około 8 godziny. Byłem pijany. Ty właśnie wychodziłaś do biblioteki. Zostałem w gabinecie z wujem, prosiłem go o pożyczkę pieniędzy. Dał mi je, żeby się mnie szybko pozbyć. Pożegnałem się z nim i zamknąłem drzwi gabinetu. Lecz zamiast wyjść na ulicę poszedłem do pokoju gościnnego, gdzie wkrótce zasną-



łem. Obudziłem się, słysząc twoje kroki w korytarzu, wróciłaś do domu.

— To nie jest żadną tajemnicą. O godzinie dziesiątej wróciłam z biblioteki.

— Tak. Szkoda jednak, że nie wiedziałas o mojej obecności w pokoju gościnnym. Gdybyś wiedziała, wuj Robert żyłby jeszcze przynajmniej o jeden dzień dłużej.

Zapaliła papierosa i przyglądała mu się z niepokojem.

— Jak mogę ci wierzyć, że istotnie byłeś w domu?

— Zaraz się dowiesz. Po krótkiej chwili znów zasnąłem. Nagle obudziłem się, teraz już całkowicie trzeźwy. Spojrzałem na zegarek — brakowało dwudziestu minut do północy. Postanowiłem iść do restauracji na kolację. Otworzyłem drzwi aby wyjść na korytarz. Zobaczyłem ciebie, szłaś przede mną, cicho po miękkim dywanie. Miałeś zielony szlafrok i zielone pantofle z białym paskiem.

Stojąc nieruchomo na progu pokoju widziałem jak weszłaś do gabinetu i zamknęłaś drzwi. Skorzystałem z tego momentu i wysunąłem się cicho z domu na ulicę.

Znów długie milczenie a potem odpowiedź Pameli: — Czyli nie widziałeś.

— Nie widziałem jaki był przebieg zabójstwa. Ale wiem, że weszłaś do gabinetu na dwa dziesięć pięć minut przed strzałem. To wystarczy, żeby cię zamknąć na wiele, wiele lat. Zeznałaś w śledztwie inaczej.

Uśmiechnął się do niej chrupiąc kostki lodu. — Prawdopodobnie przyniosłaś mi jakiś trunek z proszkiem nasennym. Gdy zasnął w fotelu zdjął ze ściany fuzję, ustawił w takiej pozycji, jakby twój mąż ją czyścił. Potem umyłaś szklankę, wytarłaś odciski palców i nacisnęłaś spust.

— Dlaczego nie powiedziałeś o tym policji?

— Woląłem poczekać aż spa-

dek przejdzie do twoich rąk.

— Nie pozwolę się szantażować!

Paul uśmiechnął się. — Zapłacisz, Pam. Nie masz innego wyjścia.

Zgodził się na pewną sumę. Lecz Pamela wiedziała, że Paul nie ma żadnych dochodów i że niedługo przyjdzie do niej po następne pieniądze. I tak się stało. Wyciągając gotówkę z szuflady kobieta rzekła: — To już ostatni raz, więcej mi się nie pokazuj!

Przyszedł znów po tygodniu. Zmienił ton: — Wyciągnij te pieniądze! Spłukałem się do szczytnie, zeznałam mnie naciskając, grozą więzieniem.

Dała mu większą sumę. — Wyjeżdżam z Chicago na dłuższy czas. Proszę mnie już nie śledzić.

Tydzień później wyjechała ogłosiwszy znajomym, że udaje się do Europy na dłuższe wakacje. Odleciała samolotem do San Francisco pod fałszywym nazwiskiem Kane. Wynajęła cichy domek poza miastem. Czekala teraz na Paula.

Zjawiał się po kilku dniach.

— Jestem bardzo zmęczony — skarżył się. — Jazda samolo-

tem, a potem kilkogodzinny wyścig taksówką. Czy masz wódkę?

Obserwował Pamelę, jak nalewała alkohol z butelki a potem sok ze słodka świeżo otwartego. Dołożyła kilka kostek lodu. Postawiła przed nią szklankę.

— Czy nie mogłabyś spróbować tego trunku?

Przyglądał się jak pociągnęła duży łyk. Potem odebrał szklankę i usiadł na kanapie.

— To już ostatni raz, przysięgam ci. Daj mi dziesięć tysięcy dolarów. Wyjadę do Kanady, rozpocznę nowe życie, nie będę pił. Zobaczysz, że...

— Powiedz mi, jak mnie odnalazłeś — przerwała mu.

Uśmiechnął się, krusząc zębami lód. — Gdy wyjeżdżałaś z Chicago pojechałem za tobą na lotnisko. Widziałem jak



wsiadłaś do samolotu, który leciał w kierunku San Francisco. Mam w tym mieście przyjaciela detektywa, zatelefonowałem do niego żeby cię śledził. Znalazł cię na lotnisku, był w twoim hotelu, a następnie widział cię w agencji wynajmu nieruchomości. Bez trudu otrzymał adres domu, który wynajęłaś.

— Jesteś bardzo przedsiębiorczy. Czy twój przyjaciel wie, że tu przyjechałeś?

— Nie, nie wie. Co go to obchodzi.

— Czy wiesz, że kupiłam kuf-

fer? — zapytała spokojnie.

Mężczyzna potarł ręką czoło.

— Co kupiłaś?

— Kufer. Jest w piwnicy.

Twarc Paula przybrała

ziemisty kolor, wzrok miał

zamglony. Z trudnym wyją-

tką: — Co się ze mną dzieje? Nie nie widzę... Pamela!

Wstała i zbliżyła się do niego. Paul przechylił głowę do tyłu, nogi mu drżały, z oczu wyzierało przerażenie.

— To jest prosek nasenny

bardzo silny — objaśniła Pa-

mela. — W kostkach lodu.

Przygotowałam ten lód oku-

kując twego przybicia. Miałeś

zawsze irytujący zwyczaj żu-

cia lodu. Nie powinien był tu

przyjść, uprzedzałam cię...

— Na miłość boską, Pam! —

jęknął słabo.

Uśmiechała się dalej. — A te

raz śpij! Biedny chłopiec!

Pamela Kendall mimo nie-

wielkiego wzrostu była kobie-

tą dość silną aby ściągnąć

z kanapy bezwładne ciało. Gdy

znalazła się w drzwiach piw-

nicy popchnęła je w dół. Po-

toczyło się ciężko schodami.

W piwnicy przyjrzała mu się

z bliska, żył. Obudził się na

nowo, po raz ostatni... Wcią-

gnęła go do kufru i opuściła

ciężkie wieko, potem zamknę-

ła je na klucz. Wróciła na gór-

re. Przechodząc obok łustra

zauważyła że ma włosy wil-

gotne od potu i przyklejone

do policzków. — Muszę wziąć

cieplej prysznic, poczuć się za

raz lepiej.

Teraz należało pomyśleć jak

się pozbyć kufru. Właściwie

nie potrzebowała się spieszyć.

Paul nie żył, był tam w pi-

wnicy, nad którą spała. Ale

prawda, pan Peet mówił, że

będzie tu zaglądał. Dobrze,

uda, że nie ma jej w domu.

A tymczasem obmyślił spokoj-

nie cały plan. Można by wy-

stać kufer do innego stanu.

Tak, żeby nigdy do niej nie

wrócił. Nareszcie będzie mogła

radować się spokojem, który

utraciła przed kilku miesiąca-

mi, gdy po raz pierwszy Paul

opowiedział jej o tym, co wi-

dział w nocy.

Nagle usłyszała, że przed do-

mem zatrzymał się samochód.

To pan Peet, naturalnie, któ-

śny mógłby tu przyjechać?

A on nie przedstawia żadnego

niebezpieczeństwa.

Otworzyła drzwi. Na progu

stali dwaj panowie w ciem-

nych garniturach.

— Czy pan Kane?

— Tak. O co chodzi?

— Jestem detektywem, na-

zywam się Miles, a to jest sier-

żant Williams. Musimy prze-

szukać piwnicę, posiadamy na-

kaz.

— Nie rozumiem o czym pan

mówi — szepnęła.

— Podobno w kufrze znajdu-

je trup.

Wydawało się jej, że osza-

leje. Usłyszała własny głos

zdławiony i trudny do rozpo-

znania: — Nie możecie o tym

wiedzieć, to niemożliwe!

Poszli za nią do jadalni. Czu-

ła, że za chwilę upadnie. —

Kto wam o tym powiedział?

— Pan Peet.

— Był tutaj? — krzyknęła.

— Szpiegował mnie!

Policjanci milczeli przygląda-

jąc się kobiecie. Czyżby zwa-

riowała? Miles schwylił Pame-

lę za ramię i zmusił aby usiad-

ła w fotelu. — Niech się pa-

ni uspokoi, zaraz pani wyja-

śnię. Stary Peet miał zwyczaj

mówienia przez sen. Córka

usłyszała, gdy mówił o trupie

żony w kufrze. Były już po-

dejżenia, że Florence Peet nie

wyjechała do Szkocji do ro-

dziców, i że tam później umar-

ła, jak opowiadał Peet. To

prawda, miał od Florence li-

sty, ale córka zawsze podejrz-

wała, że nie są autentyczne...

Dopiero gdy usłyszała co mó-

wił przez sen, zmusiła starego,

aby poszedł do policji i zez-

nał wszystko.

— Zznał? Co zznał?

— Za pięć lat temu zabił

Florence Peet i trupa scho-

wał do kufru, który znajduje

się w piwnicy.

Pani Kendall przyglądała się

policjantom. Potem przechyliła

głowę do tyłu i zaczęła się

śmiać. Zdawało się, że jej

śmiech nigdy nie ustanie.

Oprac. A. S.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

▲ ANDRZEJ F. GRABSKI — Myśli o zaangażowaniu humanisty

▲ ANDRZEJ GAWROŃSKI — Kto miłuje księgi?

▲ ANDRZEJ GRUN — Wycieczka w zimowy pejzaż

oraz felietony, recenzje, nowela.



Lewym okiem

FELIETON DLA ŚREDNIEGO SZCZEBŁA

Od wielu lat, od początku istnienia naszego społecznego przemysłu, usiłuję ze zmiennym szczęściem grać w jego administracji rolę — bo ja wiem — podoficera? średniego personelu kierowniczego? — no, takiego niezupełnie szeregowego urzędnika, obdarzonego niejakimi atrybutami zarządzania. Bywały w naszej pracy okresy bardzo trudne, a dające człowiekowi pełne poczucie ważności tego, co robi, niestychanie potrzebnej satysfakcji, że się jest naprawdę pożytecznym, potrzebnym, że się działa. Bywały też długie i nazbyt uporczywie powtarzające się okresy, kiedy jakaś gęsta, bezosobowa, wszechogarniająca sieć opłatywała wszystkie nasze najlepsze zamiary i chęci i inicjatywy, kiedyśmy ledwie zipali pod lawiną papierowych decyzji z góry, twarde, wykluczających nie tylko dyskusję, ale w ogóle jakikolwiek czyn samodzielny.

Zdarzały się w felietonach Cwieka pełne gorzkiego sarkazmu uwagi o bzdurnych obyczajach w gospodarce, o surrealistycznym stylu zarządzania, doprowadzonych do absurdu obrzędach biurokratycznych, nie mających żadnego związku ze skutecznym, prawdziwym działaniem. Niektóre z tych uwag musiały pozostać w szufladzie — z tym większą satysfakcją

czytam je teraz w tyłach pismach, na tyłach stronicach, podpisane przez tyle nazwisk, jakie niekiedy autorzytatynnych. Wierzę mi, są wśród urzędników tyśiące a tyśiące takich, dla których nic się nie zaczyna i nie kończy na samej tylko forsie. Na premii pensji i pracy zleconej. Którzy bardzo chcą prawdziwego, męskiego, ambitnego zmierzania się z trudnymi (a czasem strasznie trudnymi) problemami nowoczesnej gospodarki, chcą czuć i łamać „opór materii”, chcą poprawiać świat. To jest bardzo szumny frazes, ale przecież jak ktoś chce — naprawdę chce, byleby mu nie przeszkadzała owa oślizła bezosobowa sieć — poprawić na przykład jakość tkaniny teksas na spodnie dla nastolatków, to tym samym chce w jakimś tam utamku promila poprawić świat, nie?

Dla niepoprawnych poprawiający świata, którzy oby się na kamieniu rodzili, powiadał chyba korzystny wiatr. Niech się nikt nie pogniewa: nie jest nam, starszym panom, łatwo o hurantuzjizm ze środry na piątek. Jesteśmy niegodziwie ostrożni w naszych nadziejach, to fakt. Ale te nadzieje zwiększają! Zwiększają, kiedy czytamy w prasie o konieczności zmiany tego i tego i tamtego. Bo jeszcze niedawno tego się nie czytało, chociaż te same konieczności widziało tylu niegłupich ludzi! Te nadzieje zwiększają, kiedy się słucha o konieczności zasięgnięcia rad ekspertów, o konieczności krytyki, ciągłej czujnej krytyki, bez której — jak napisał Wilhelm w „Kulturze”: „znika operatywna kontrola nad decyzjami; wszyscy jesteśmy omylni i decyzje mogą być błędne — nikt jednak nie zwróci na to uwagi, jeśli ci, do których decyzja wpływa, przyzwyczajeni są tylko do słuchania”.

Otóż to. W tym samym felietonie pisze jeszcze Wilhelm: „typową reakcją staje się (w dotychczasowym stylu zarządzania — przyp. Cwieka) zaniechanie w oczekiwaniu na przymus administracyjny, wywartu skutecznie ze szczepła wyższego; dopiero wtedy — co potwierdza, niestety, doświadczenie potocz-

ne — rozpoczyna się często jakiekolwiek działanie”.

Z tego zdania wyczytać by można, że taki jeden z drugim urzędnik siedzi, popija herbatę, nie myśli o niczym oprócz toto-łotka i czeka na rozkazy; urzędnik, któremu zależy „nie na tym, aby samemu coś wymyślić i cokolwiek podjąć, lecz na tym, aby — niezależnie od osobistego przekonania rzecz wymyślona i podjęta odgórnie w sposób zaledwie dostateczny wykonać”.

Zapewne, bywa często i tak. Ale równie często jest tak, że urzędnikom takim ze średniego i niższego szczebla ręce opadają i głowy puchną od nie kończącej się pracy, po dwanaście i trzynaście godzin dziennie — właśnie takiej pracy nad rzeczami „wymyślonymi i podjętymi odgórnie”. Oni nie „oczekują na przymus administracyjny”, ten przymus złapał ich w kleszcze i nie puszcza całymi latami, żądając i żądając, nie zostawiając minuty na inicjatywę własną, na jakikolwiek plan, koncepcję, pomysł, nawet na znalezienie sensu w tej obłądnej taranteli cyfr. Cyfr, które do niczego nie służą oprócz ambicji „bycia świetnie poinformowanym” o wszystkim — u wszystkich. U wszystkich referentów wszystkich resortów, central, zarządów, zespołów i komisji. Nieśmiało są te nadzieje, ale są i zwiększają: może jednak te stołeczne resortowe, centralne katedry zrezygnują z zachłannej chęci wiedzenia o wszystkim i decydowania o wszystkim? Może po prostu dostrzegą, że to jest przecież niemożliwe. Może zrezygnują z bezbrzeżnie zarozumiałego przekonania, że tylko one nawiedzone są wszechmądrością i w niczym nikomu zaufać nie mogą bez narażenia kraju na katastrofę. Inaczej i krótko mówiąc: może decentralizacja zarządzania stanie się doktryną naprawdę realizowaną i urzędnikom „w terenie” przywróci godność dorosłych, dojrzałych ludzi. Może nie będzie wtedy tak, jak napisał Eugeniusz Waszczuk w „Życiu Warszawy”: „musielibyśmy wstrzymać produkcję, gdybyśmy postępowali zawsze według przepisów...”.

CWIEK